

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 9 (27)

Jerozolima, 1 maja 1944 r.

Rok II

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

UNIWEERSAŁ POŁANIECKI

W 150 ROCZNICĘ

„Jakież były ówczesne życie Pol-
ski? Położyć koniec bezładowi, szerzą-
cemu się między psującą się szlachtą,
przez wzmocnienie władzy centralnej z
jednej strony, z drugiej — przez roz-
szerzenie praw obywatelstwa na wszyst-
kie klasy ludu; odzyskać niepodległość
i stracone stanowisko w Europie przez
ugruntowanie w Polsce zasad wolności,
śmiertelnych despotom, nieprzyjaciółom
Polski“.

(Adam Mickiewicz „Konstytucja 3 maja“)

Bitwa pod Racławicami, krwawa Wielka-
noc Warszawska przesądziły o charakterze
powstania roku 1794. Nie było ono już, jak
Konfederacja Barska, buntem jednej tylko
klasy społeczeństwa — szlachty, przeprowa-
dzonym wprawdzie w idei walki o niepod-
ległość ojczyzny, lecz chaotycznie sple-
tanym w szeregu bitew i potyczek. Powsta-
nie roku 1794 objęło wszystkie klasy narodu.
„Wiwat król! Wiwat Naród! Wiwat wszystkie
stany!“ — wołano po uchwaleniu Konstytucji
3 maja. Powstanie r. 1794 niosło realizację
hasła 3-majowych, a w dziedzinie społecznej
stało się ich rozwinięciem. Przemiany spo-
łeczne, rozszerzenie swobód warstwy włościa-
ńskiej, było jednym z zamierzeń insurekcji
— nie stanowiło jej celu głównego. Powsta-
nie Kościuszkowskie wybuchło jako pow-
stanie narodowe. Celem jego było przy-
wrócenie Rzeczypospolitej pełnej niepodleg-
łości i potęgi.

Stwierdzenie to jest truizmem, ale truiz-
mem, wartym przypomnienia, gdy w 150 roc-
nicę przysięgi Kościuszką na Rynku Krakow-
skim moskiewska „Prawda“ pisze o walce,
prowadzonej przeciwko „polskim feudalom“
przez powstańców roku 1794. W szeregach
wojsk Kościuszkowskich stanęli obok siebie: brata-
nek królewski (Ks. Józef Poniatowski), szew-
ce warszawski (Kiliński) i chłop z pod Racła-
wic (Bartoszewski). Walczyli z wrogami
zewnętrznymi, którzy przeciwstawiali się od-
budowie Ojczyzny i karali śmiercią ich pol-
skich jurgielników, nie za „feudalizm“, ale
za zdradę.

Nie było sił zbrojnych polskich, które
walczyłyby z powstańcami. Insurekcja zosta-
ła stłumiona przez siły obce.

Przez cały wiek XIX i początek XX, aż
do odrodzenia niepodległej Rzeczypospolitej,
trwała w polskiej historiografii dyskusja na
temat przyczyn upadku Polski w wieku XVIII.
Wszyscy niemal historycy hoładowali jednej z
dwóch tendencji: pisali prace swe ku „po-
krzepieniu serc“ narodu, znoszącego strasz-
ną i hanbiącą niewolę po ośmiu wiekach ist-
nienia niepodległego państwa, bądź też dla
wyplenienia pewnych wad narodowych uży-
wali czarnych farb w malowaniu rzeczywisto-
ści z czasów Rzeczypospolitej Przedrozbiorowej.

Cechą, charakteryzującą rozwój politycz-
ny Polski wieku XVIII, jest jego całkowita od-
rębność w porównaniu z tym wszystkim, co
się działo w innych państwach Europy. Pol-
ska wypadła jakby z rytmu rozwoju Europy,
poszła innymi szlakami, a gdy w erze sta-
nisławowskiej chciała odbyć drogę, zbliżają-
cą ją do ustroju państw ówczesnych, prze-
szkodzono jej w tym aktem gwałtu rozbio-
rów.

W polityce zagranicznej początek wieku
XVIII przynosi teorię o słabości, jako
podstawie dobrych stosunków z sąsiada-
mi. „Polska nierządem stoi“ — było przede
wszystkim hasłem zewnętrzo-politycznym:
jeśli Polska będzie słaba, nie będzie się jej
nikt obawiał, nie będą powstawały, tak jak w
wieku XVII, liczne koalicje, stworzone dla
jej zniszczenia czy osłabienia, nie będzie
krwawych wojen, których tyle przeszło przez
ziemię polską w poprzednim stuleciu.

Przez dwa pokolenia w głosach pol-
skich statystów pierwszej połowy wieku
XVIII kwitły teorie o „Polsce, stojącej
nierządem“ — gdy Fryderyk Wilhelm II,
„król-sierżant“, szkolił swą nowoczesną
armię, gdy reformy Piotra Wielkiego zmie-
niły podstawy armii rosyjskiej, gdy w
całej Europie ówczesnej: w Austrii, Francji,

Anglii, stosowano w organizacji wojska do-
świadczenia, zdobyte w wojnach o sukcesję
hiszpańską i austriacką, a następnie w woj-
nie siedmioletniej.

Jeszcze w czasie reform Czartoryskich,
na sejmie r. 1766, poseł Wielhorski próbuje
bronić tezy o zbawiennej słabości Polski jako
gwarancji dobrych stosunków z sąsiadami.

Całkowite otrzeźwienie przyszło dopiero
po pierwszym rozbiore.

Ustrój wewnętrzny Polski wieku XVIII
odbiegał również daleko od stanu rzeczy, ist-
niejącego w innych państwach Europy. Roz-
wój społeczeństw Europy Zachodniej przecho-
dził kolejno różne etapy. Do pełni swobód oby-
watelskich doszły one drogą, która szła przez
walkę ze złe zbudowanymi hierarchiami. Każ-
da z tych hierarchii pozostawiała jakiś ślad w
układzie społecznym. Przez stulecia całe nara-
stał w Europie Zachodniej ustrój feudalny. W
Polsce zhierarchizowany feudalizm nigdy w
gruncie rzeczy nie istniał. W poszczególnych
okresach czasu różne rody możnowładców
wybijały się w rozmaitych prowincjach na
pocześniejsze miejsca. Nie było jednak żad-
nych określonych przywilejów, które stawia-
łyby je wyżej w stosunku do innych rodzin
tej samej prowincji, czy zapewniały im do-
stojeństwa. Tytuły, kilkustopniowe księgi
szlacheckie były dopiero dziełem zaborców.
W Polsce rozwija się wcześniej poczucie
równości, stan rzeczy, który można określić
jako rodzaj demokracji szlacheckiej. Dojrzała
ona jeszcze wówczas, gdy w Europie Zachod-
niej trwał w pełni feudalizm średniowieczny,
i rozwijała się dalej, gdy państwa zachodnie
przeszły od hierarchii feudalnej do instytucji
absolutyzmu oświeconego. W Rzeczypospoli-
tej: „szlachcic na zagrodzie“ jest równym
„panu wojewódzemu“.

Wszelkie próby naruszenia równości szla-
checkiej w Polsce napotykały na zdecydowany
opór i traktowane są jako zamach na podsta-
wowe swobody szlacheckie. Udział w senacie
warunkowany był sprawowaniem urzędu, a nie
przywilejem rodowym. Królowie polscy mogli
nadawać tytuły cudzoziemcom, nie mogli ich
nadawać Polakom.

Poczucie hierarchii niknie stopniowo
zławsza od czasu, gdy pod wpływem hasła
wyboru „króla Piasta“ na tron rozpoczęto
wynosić kandydatów, pochodzących z rodzin
polskich. Świadomość, iż król jest tylko „pri-
mus inter pares“ i że każdy szlachcic o god-
ność królewską może się ubiegać, stwarza z
Polski kraj o zupełnie odmiennych myśleniu
politycznym zwyczajach i drogach niż kraje
Europy Zachodniej, które przeżywają wła-
śnie okres rozwoju teorii „króla Słońca“.

Do zatarcia poczucia hierarchii i przeobra-
żenia urządzeń politycznych Rzeczypospolitej
na coraz bardziej anarchiczne przyczynia się
fakt wielkiej liczebności szlachty. Tworzyła
ona w Polsce w XVIII wieku 13% ludności, we
Francji w tym samym czasie — niespełna
półtora procent.

Duża ilość szlachty zapewniała udział
w decyzjach politycznych stosunkowo
znaczej części ludności kraju. Lelewel
zwraca uwagę na fakt, że zarówno we
Francji po rewolucji roku 1830, jak w Anglii
po reformie wyborczej whigów w roku 1832
mniejszy odsetek ludności przy uprawniony do
głosowania, niż w Polsce przed rozbiorami.

Konstytucja 3 maja czyni próbę ujęcia
w karby państwa nowoczesnego przywilejów
szlacheckich. Wprowadzenie monarchii dzie-
dicznej, zniesienie Liberum Veto kładło kres
anarchii. Wydzielało osobę króla z równości
szlacheckiej, równocześnie zaś otwierało sze-
rzeż jeszcze wrota dostępu do klejnotu szla-
checkiego. Jak pisze Mickiewicz: „A nakoniec
król i rycerstwo dnia trzeciego maja umyśliłi
wszystkich Polaków zrobić bracią, naprzód
mieszczan, a potem włościan“. Konstytucja
majowa jest dziełem Sejmu Czteroletniego —
sejmu, wybranego zwykłą drogą głosowania,
tak jak wszystkie inne sejmy niepodległej

Rzeczypospolitej. Uchwały tego sejmiku prze-
prowadzone zostały nie drogą siły, lecz zwyk-
łą drogą legalną. Odpowiadały one poglądom
i uczuciom większości reprezentantów narodu.
Znamiennym jest, że ci, którzy uchwalali no-
we prawa, nie zyskiwali niczego dla swych
przywilejów stanowych, czy — jakby dziś
należało powiedzieć — klasowych. Przeciwnie,
godzili się dobrowolnie na uszczuplenie swych
tradycyjnych swobód na rzecz monarchii dzie-
dicznej, silnej władzy wykonawczej, systemu
większości parlamentarnej. Co więcej, przywi-
leje stanu szlacheckiego miały być udostępnio-
ne mieszczaństwu, a następnie szerokiej war-
stwie włościańskiej.

Manifest Połaniecki był największym,
najważniejszym aktem politycznym insurekcji
kościuszkowskiej. Był jakby akordem, kończą-
cym dzieło, rozpoczęte przez ustawę majową,
a zarazem przyspieszeniem jej realizacji. Był
gestem prawdziwie rewolucyjnym — nie tyl-
ko w sensie przewrotu wewnętrznego, lecz
przede wszystkim w stosunku do stanu rze-
czy, istniejącego w innych państwach Europy
w tej epoce. Oprócz Francji, przeżywającej
właśnie okres Konwencji, nie było innego pań-
stwa w Europie, które mogłoby się zdobyć na
podobnie śmiały krok.

Wydany w dniu 7 maja 1794 roku w obo-
zach pod Winiarami i Połancem uniwersał
przyznawał wolność osobistą włościanom i
ograniczał ich obowiązki pańszczyźniane. Uni-
wersał wydany był przez Kościuszkę jako Na-
czelnika Powstania, Szefa Rządu i Naczelnego
Wodza w jednej osobie. Ginąca Polska zdo-
bywała się przez Manifest Połaniecki na akt
sprawiedliwości w stosunku do najliczniejszej
warstwy swych obywateli. Sprawa polska sta-
wała się sprawą wszystkich klas społeczeń-
stwa, sprawą całego Narodu.

Rozbiory opóźniły rozwój społeczny Pol-
ski o parę pokoleń. Dopiero w trzy ćwierci
wieku później car Aleksander II przeprowa-
dza uwłaszczenie włościan. Jeżeli słusznie po-
tępiać można szlachtę polską wieku XVIII za
jej niechętny niejednokrotnie stosunek do na-
dania praw ludzkiego chłopom, to nie należy
zapominać, że przez rozbiory sytuacja klasy
włościańskiej uległa pogorszeniu nie tylko w
porównaniu do stanu rzeczy, wprowadzanego
przez Uniwersał Połaniecki, lecz nawet w ze-
stawieniu z jej położeniem w okresie z przed
Sejmu Czteroletniego. W Polsce wieku XVIII
było chłopu źle, w Polsce podzielonej z pierw-
szej połowy wieku XIX — jeszcze gorzej. Nędza i
ciemnota włościan polskich w tej epoce stają
się tematem licznych opisów, m. inn. porusza-
ją młodą wrażliwość Heinego, który biada nad
nią w swym szkicu „O Polsce“.

Równocześnie polityka zaborców dąży do
różnienia poszczególnych klas społecznych.
Zwalczane są „mrzonki“ Sejmu Czteroletniego,
wyszydzany i potępiany „jakobinizm“ Ko-
ściuszkowski. Szlachcie tłumaczy się, że „podstawą jej
dobrobytu jest ustrój społeczny, gwarantowa-
ny przez cara. Chłopu — że przeszkodą na dro-
dze poprawy jego losu jest przede wszystkim
tyrania szlachty. Gdy w Konstytucji Księstwa
Warszawskiego raz jeszcze podkreślona zosta-
ła wola Polski zrównania praw wszystkich
jej mieszkańców, władze zaborcze na Zie-
miach Wschodnich starają się trafić do egoiz-
mu klasowego szlachty. Niechętny stosunek
części szlachty litewskiej do wyprawy roku
1812 wynikał — zdaniem Bobrzyńskiego —
z faktu, iż czuła ona, że „utrzymanie niewoli
ludu może oczekiwać tylko od rosyjskiego
cara“.

Wielu przyczyn można by szukać dla wy-
prowadzenia genealogii poczucia krzywdy
społecznej, które tak silnie istniało w Polsce.
Była w niej świadomością wielu win własnych i
— rezultat cudzych podległości. Przez cały wiek
XIX we wszystkich ruchach narodowych odrad-
za się na nowo problem treści społecznej
przyszłości Polski. Nieraz obcym ręką udaje się
zasiać niezgodę tak głęboko, że — jak w roku

W numerze:

K. Grzybowski: Rewolucja trzecimajowa. —
J. Keats: To Kościuszkę. — J. Keats, przeło-
żył A. Lange: Do Kościuszkę. — S. Wilucki:
Polskie Państwo Podziemne i Armia Krajo-
wa. — K. Wierzyński: ***. — W. Falk:
Weronika. — I. Kleszczyński: „Kurier Pol-
ski“ w Bagdadzie. — W. Broniewski:
Wiersze. Zielony pagórek. Maria. Mojemu
sercu w Palestynie. Kalinie. Cyganka. O ka-
lifie. Martwa natura. — K. Kleszczyński: Z
ziemi włoskiej do Polski. — W. Domański:
List z frontu włoskiego. — T. Sowiński: Ruiny
piękne. — H. Panas: Ucieczka. — B. Minc:
Nowa religia na Wschodzie. — Fak-
ty i komentarze. — Echa artyku-
łów „W Drodze“. — S. Dominik: Opinie an-
gielskie. — Z prasy obcej. — ww: Przegląd
polityczny. — J. Martyka: Kronika filmo-
wa. „Dzieci Hitlera“. — Rysunki M. Kości-
kowskiego, T. Sowińskiego i Z. Kowalewskiego.

1846 w Małopolsce — polski chłop za worek
soli i pięć reńskich dostarcza powstańca au-
striackiej policji, że w roku 1863 dopomaga
często carskim żandarmom w tropieniu od-
działów polskich.

Pisarz krzywdy społecznej w Polsce —
Żeromski, w swej pełnej swojskich, polskich
melodii i rodzimych zgrzytów, ostatniej książce
„Przedwiośnie“ rysuje obraz marszu tłumy na
Belweder. Drogę tłumowi zagradza policjant,
polski policjant... Konflikt społeczny, który
przedstawiała ta scena „Przedwiośnia“, wisił
w powietrzu przez całe dwudziestolecie Pań-
stwa Polskiego.

Był to nie tylko konflikt społeczny w
zwykłym tego słowa znaczeniu. Był to rów-
nież konflikt psychologiczny Polski Idealnej
i Polski Realnej.

Pokolenia, które przyżyły okres walki o
niepodległość wyobrażały sobie Polskę Nie-
poległą jako kraj „Szkłanych domów“,
wcielający w życie wszystkie ideały.

Rzeczywistość okazała się inną. Szkłane
domy marzeń zszarzały, pokryte kurzem pol-
skiej nędzy. Codzienne dysproporcje marzeń i
rzeczywistości były dokuczliwe i zniechęcały. Gry
polityczne, walki klas i grup społecznych, nie-
dostatek gospodarczy — wszystkie te kłopoty
państwa „z krwi i kości“ wyszły na jaw w
całej wyrazistości. Trzeba było budować pań-
stwo i odrabiać zaległości, wytworzone przez
długie lata niewoli.

Rozwój przemysłu i handlu na ziemiach
polskich był sztucznie hamowany przez rządy
zaborcze. Wiek polski, pozbawiony możliwości
naturalnego odpływu ludności do miast, sta-
wała się zbiornikiem coraz większej „rezerwo-
wej armii pracy“ (jakby to określił Marx).
Polska, kraj o najbardziej przeludnionej wsi
w Europie, nie mogła nie być krajem poczucia
krzywdy społecznej.

I raz jeszcze, jak tylekroć w ciągu ostat-
nich stu pięćdziesięciu lat, dokonuje się pró-
ba wykorzystania tych nastrojów dla obcych
potrzeb. Raz jeszcze cudze ręce próbują
przesłonić cel dalszy — Ojczyznę, wskazując
na cel bliższy — okoliczny dwór. Żeromski
dał drugiej części swego „Przedwiośnia ty-
tuł „Wiatr od Wschodu“.....

Polska nie była krajem szklanych domów,
ale była krajem, który w ciągu dwudziestole-
cia istnienia niepodległego dokonał wielkich
postępów we wszystkich dziedzinach życia.
Urządnicza i robotnicza kolonia, która wyrosła
na obszarze Cytadeli Warszawskiej, stała
się jakby symbolem tego postępu. Innym sym-
bolem był elementarz i detektor radiowy w
wiejskiej chacie, czy rosnąca sieć linii kolej-
owych, poprawa stanu zdrowotnego dzieci, czy
port w Gdyni lub zaporą w Rożnowie.

Przy wszystkich niedostatecznych osią-
gnięciach społecznych: zbyt powolnej reformie
rolnej czy przerostach w gospodarce kartelo-
wej, w Polsce wprowadzono w życie jedno z
najnowocześniejszych ustawodawstw społecz-
nych Europy. Od r. 1919 istniały już prawa,
które we Francji mozolnie przeprowadzał rząd
Frontu Ludowego w r. 1937, a w Anglii —
opracowany w czasie wojny plan Beveridge'a.
Ostrość niektórych spraw społecznych w Pol-
sce wynikała częstokroć nie z faktów, a z
uczuci. Problemem najważniejszym było za-
gadnienie stylu życia wybranych i mas.

Uniwersał Połaniecki jest pierwszym ak-
tem nowoczesnej myśli społecznej Polski. Myśl
ta nie ginie już nigdy w ciągu następnego
półtora wieku. Raz błyska krwawą barwą
Rzezi Galicyjskiej, to znów wije się idylliczną
nicią, łączącą wysiłki tytułu nieznanych działa-
czy, pracujących dla podniesienia poziomu
życia wsi, by wreszcie w Odrodzonej Rzeczy-
pospolitej okrępnąć i przybrać na siłę.

Uniwersał Połaniecki stał się pomostem,
prawdziwą Arką Przymierza, łączącą dawne
i nowe Polski pokolenia. Dwadzieścia lat szko-
ły powszechnej w Polsce Współczesnej ugrun-
towało świadomość, jak kraj długi i szeroki.
Toteż jakiegokolwiek miałyby czekać nas koleje,
jedno jest pewne: że w uczuciach swych naród
polski bliższy będzie zawsze Racławic i Poła-
ni, niż Targowicy.

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

REWOLUCJA TRZECIOMAJOWA

Ostatnie lata Rzeczypospolitej Szlacheckiej potrafiły w toku prac nad przebudową państwa stworzyć wartości o filozoficznym znaczeniu i o doniosłości na długi okres czasu. Zagrożenie niepodległości związało się z renesansem koncepcji państwa i natchnieniem jej nowymi ideami oraz nowymi siłami. Powstawała nowoczesna idea narodu państwowego. Powstawała myśl o wykonywanym przez lud rządzie demokratycznym.

Specyficzne warunki dotychczasowego istnienia Rzeczypospolitej Szlacheckiej, zagrożenie polityczne ze strony trzech wielkich mocarstw, wrogich nowym ideom — zmuszały naturalnie do modyfikacji programu. Z drugiej jednak strony sam rozmiar trudności, jakie politycy polscy mieli do pokonania, zmuszał do wydobycia oraz szukania sił i środków, któreby zaradziły groźnej rzeczywistości radykalniej, z większym może ryzykiem dla organizmu, trawionego ciężką niemocą, ale też i skuteczniej, od stosowania środków łagodnych, zmierzających do zmian w duchu ostrożnej ewolucji.

Współcześni, zestawiając Konstytucję z tym, co widzieli we Francji, odmawiali jej rewolucyjnego charakteru, nie widzieli jej przełomowego znaczenia i głębokości przemian, przez nią wywołanych. Ten umiarkowany charakter zmian, wprowadzonych przez Konstytucję Majową, podziwiał Edmund Burke: „Widzimy, że anarchia i niewolnictwo znikają, tron zostaje wzmocniony dla ochrony narodu bez ograniczenia jego wolności... Dziesięć milionów ludzi otrzymało wolność stopniowo... Nikt niczego nie stracił, ani nie został ograniczony w swych prawach. Wszyscy, począwszy od króla, a na robotniku zarabiającym na dniówkę skończywszy, poprawili swój los“.

Oto jak konserwatywny myśliciel polityczny widzi osiągnięcia rewolucji majowej. I rzeczywiście, odbyła się ona bez sztafażu, jaki zwykł rewolucjom towarzyszyć. Opisy obrad w dniach 3 i 5 maja 1791 potwierdzają w zupełności wrażenia współczesnych. Poza bowiem naciskiem moralnym, który wywarło patriotyczne mieszczaństwo warszawskie, nie było innej „przemocy“. (Konstytucja została uchwalona niemal że bez opozycji. Posłowie, wrodzy reformie, chociaż przemawiali długo i namiętnie, potem ustąpili może nie tyle wobec siły argumentów, ile dla świętej zgody).

Tym niemniej rewolucyjność Konstytucji Majowej jest oczywista. Przede wszystkim była ona rewolucją w umysłach swych twórców. Twórcy ci zdawali sobie sprawę z tego, że zmiana podstawy społecznej państwa jest jednym z warunków jego przetrwania. Zmiany, jakie Konstytucja wprowadzała, nie były, z uwagi na sytuację państwa, tak radykalne, jak tego chcieli niektórzy z jej twórców. Reforma musiała się odbyć szybko, bezkrwawo i być elementem, cementującym naród.

W kolej ważności celów rewolucji majowej niemal że na pierwszym miejscu umieszczono siłę państwa i sprawność organizmu na okres nadciągającej burzy. Ale — z drugiej strony — ten sam cel zmuszał do przemian w myśl nowych prądów, które mogły być jedynym natchnieniem reformy oraz jej sensem. Absolutyzm carcy czy królów pruskich nie mógł być skuteczną bronią. Zbyt silne było na to w społeczeństwie — mimo jego zdegenerowania — poczucie wolności. Dlatego też program wzmocnienia mechanizmu państwowego mógł być przeprowadzony wyłącznie na tle rozszerzenia i uporządkowania wolności obywatelskich. Radykalizm Konstytucji był dla współczesnych oczywisty. Prawdziwą siłą wybuchł on w czasie Insurekcji Kościuszkowskiej. Uniwersał Połaniecki, przysięga na Rynku krakowskim obok nu-

ty anglosaskiej pełne są hasła rewolucyjnych. Rewolucja dawała świadectwo wartości sił, wywołanych na scenę dziejową. W perspektywie Insurekcji jaśniej widzimy radykalizm Konstytucji.

Rewolucyjność Konstytucji objawiła się w pełni na tle okresu niewoli. Przede wszystkim rzeczywistość polityczna, z jaką Polacy zetknęli się po zaborach, postawiła Konstytucję w szczególnej roli. Stała się ona symbolem nie tylko wolności narodowej, jak tego chcieli w pierwszym rzędzie jej twórcy, ale też i wyrazem właściwego stosunku obywatela do państwa. Spełniała tę rolę, którą we Francji spełniała aż po ostatnie dni ideologia

Wielkiej Rewolucji, a w Stanach Zjednoczonych — Deklaracja Niepodległości i akt konstytucyjny. Każda z wielkich demokracji Zachodu obok zasadniczych założeń politycznych czy to na codzień, czy to na dalszą metę, nosi w łonie swego społeczeństwa pewne zasadnicze kryterium, pewne wyczucie spraw narodowych, będące osią, wzdłuż której układa się osąd opinii publicznej i działalność organów państwowych. W momentach krytycznych naród powraca do owych pojęć, stanowiących kryterium słuszności czy też niesłuszności takiego czy innego zjawiska w życiu państwowym, takiego czy innego postępowania czynników rządowych.

W istnieniu takiego właśnie światopoglądu społecznego, takiego kryterium tkwi istotna wartość programu państwowego. Jeżeli się zdarzy, że zostanie on wysunięty przez grupę ludzi tylko, a trafi w uczucia narodu, w jego właściwą linię rozwojową, wówczas już w następnym pokoleniu staje się programem całego narodu. Na tle tej idei odbywa się przychodzenie i odchodzenie grup politycznych od władzy i rozwiązywanie zasadniczych zagadnień. Idea taka jest zawsze rezultatem wstrząsu, w którym bierze udział cały naród. Im głębiej został on przeżyty i im więcej wysiłku kosztowało otworzenie sobie drogi wyjścia, tym większa jest możliwość ustabilizowania życia państwowego, wytyczenia mu prostszych linii rozwojowych.

Rola Konstytucji Trzeciego Maja w narodzie polskim po upadku państwa wraz z tymi wszystkimi faktami, jakie narastały na glebie ideowej, przez nią stworzonej, jest identyczna z rolą wielkich przewrotów, przez jakie przechodziły w swej historii narody zachodniej Europy. Tradycja ta odżywa zawsze wówczas, gdy uzewnętrznia się prawdziwa państwowość polska, gdy tylko powstaje możliwość odbudowy niepodległości. Natychmiast po detronizacji cara sejm listopadowy wrócił do jej założeń. Konstytucja Marcowa stwierdza wyraźnie łączność z aktem 1791 r., nawiązując w swym tekście do jego tradycji.

Rewolucyjność Konstytucji Trzeciego Maja nie powstawała w bezpośrednim związku z tymi osiągnięciami społecznymi, jakie ze sobą przyniosła. O przyczynach mowa była wyżej. Dla współczesnych jednak i dla potomków pokolenia Sejmu Czteroletniego istotną rzeczą było obranie drogi po przebyciu zakrętu historycznego. Być może, że nie wiele tej drogi przebyto. W tej atmosferze jednak, w jakiej żyła myśl o państwowości polskiej, kierunek ważniejszy był od praktyczniejszych osiągnięć. O tym, jak głęboko sięgała myśl o programie trzeciomajowym, świadczą słowa Stanisława Szczepanowskiego: „Wylamaliście się z tradycji galicyjskich, ale nawiązaliście do tradycji polskich, do tradycji Sejmu Czteroletniego...“, do tego nieprzerwanego ciągu pracy obywatelskiej... dążącej do zrównania naszego społeczeństwa z narodami cywilizowanymi i do zaszczepienia w nich tych wszystkich zarodków samodzielnego rozwoju duchowego i ekonomicznego, które stanowią cywilizację nowożytną“.

Konstytucja Trzeciego Maja była nie tylko aktem zdrowia narodu, który, zagrożony, potrafił stworzyć plan mądry i praktyczny, ale była początkiem polskiej nowożytnej myśli państwowej, zapłodniła wysiłki wszystkich tych, którzy szukali dróg i programów dla państwa. Jeślibyśmy chcieli ująć krótko istotę dzieła, dokonanego przez Konstytucję, to charakter jej najlepiej ujmie zdanie, że był to akt, dążący do wzmocnienia władzy państwowej przez uporządkowanie wolności, rozszerzenie jej zakresu społecznego, postawienie jej pod ochroną prawa. Tu tkwi tajemnica wartości i siły Konstytucji. Uderzyła ona we właściwą strunę narodową, uzdrawiając i pomnażając siły, które w narodzie zawsze tkwiły. Wskazywała ona i wskazuje właściwą drogę, po jakiej naród szedł, idzie i pójść powinien. Położenie geograficzne Polski, nasza przeszłość, teraźniejszość, a napewno także i przyszłość, będą zmuszały każdego człowieka, odpowiedzialnego za losy państwa, do apelowania do najgłębszych wartości duchowych, jednostkowych i społecznych, Polaków. Jeśli bowiem losem naszym będzie walka, przyjdzie nam walczyć z przemocą. A z przemocą skutecznie walczyć może tylko człowiek wolny.

JOHN KEATS

TO KOSCIUSZKO

Good Kosciuszko, thy great name alone
Is a full harvest whence to reap high feeling;
It comes upon us like the glorious pealing
Of the wide spheres — an everlasting tone.

And now it tells me, that in worlds unknown,
The names of heroes burst from clouds concealing,
Are changed to harmonies, for ever stealing
Through cloudless blue and round each silver throne.

It tells me too, that on a happy day
When some good spirit walks upon the earth
Thy name with Alfred's, and the great of yore

Gently commingling gives tremendous birth
To a loud hymn, that sounds far, far away
To where the great God lives for evermore!

DO KOŚCIUSZKI

Cny Kościuszek, już samo wielkie imię twoje
Żniwem jest, gdzie wzruszeni żelibyśmy kłosa:
Słyszę je, jako chwałą rozdzwonione głosy
Sfer, co melodią wieczną biją w nieb podwoje.

Oto szepcze mi duch, że w nieznanych regionach,
Za chmurami imiona błyszczą bohaterów,
Na zawsze utajone wśród czystych eterów:
Każde, na swoich srebrnych zasiadając tronach,

W błękicie trwa, aż oto dzień promieniejący,
Gdy na ziemię zstąpią dobre geniusze,
Imię twoje z Alfredem, oraz wielkie dusze

Dni dawnych — złane w jedność — hymn przerażający
Zagrzmia, co huczeć będzie w nieskończone dale,
Aż tam, gdzie Bóg przebywa w wiekuistej chwale.

Przełożył ANTONI LANGE

WAŻNE DLA POSIADAJĄCYCH RODZINY W ROSJI

LISTA No. 10

PACZKA No. 1. 6 szpilek nici 20 igieł (nierdzewnych, wyrób ang.) 1 grzebień (wyrób angielski) 1 szczotka do zębów (wyrób angielski) 4 sztuki mydła toaletowego 2 ręczniki 3 chustki	CENA : LP. 2.000
PACZKA No. 3. 1 para bucików, przy zam. podać rozmiar No. 35 do 45 3 pary pończoch	CENA : LP. 3.500
PACZKA No. 5. 4 szt. mydła do prania 6 szt. mydła toaletowego 250 igieł nierdzewnych (wyrób angielski) 25 szpilek nici 1 pióro wieczne „Platinum“ (wyrób angielski)	CENA : LP. 3.500

„EGO“
SZWAJCARSKI DOM WYSŁKOWY
TEL - AVIV, ul. Hess No. 1



DZIAŁ POSYŁEK DO ROSJI

PACZKA No. 7. 1 sweter wełniany 1 kupon materiału (na spódnicę lub spodnie) 1 kupon materiału (na suknię lub ubranie) 1 garnitur bielizny wełnianej 3 chustki na głowę 3 pary pończoch ciepłych, długich 1 para rękawiczek	CENA : LP. 10.000
--	--------------------------

PACZKA No. 2. 1 garnitur bielizny (koszula i majtki) 2 ręczniki 3 chustki 1 szczotka do zębów (wyrób ang.) 1 tuba pasty do zębów 12 szpilek nici 30 igieł (nierdzewnych, wyrób ang.)	CENA : LP. 2.500
PACZKA No. 4. 1 sweter bawełniany 2 garnitury bielizny (2 koszule i 2 p. majtek) 2 pary pończoch 2 ręczniki 4 chustki	CENA : LP. 3.500
PACZKA No. 6. 1 garnitur bielizny (koszula i majtki) 1 kupon materiału (na suknię lub ubranie) 1 chustka na głowę 2 pary pończoch 1 ręcznik 12 szpilek nici 30 igieł (nierdzewnych, wyrób ang.)	CENA : LP. 4.000

Ceny są łącznie z zupełnym opakowaniem jako przesyłka polecona „REGISTERED“ z wszelkimi opłatami, do miejsca przeznaczenia w Rosji, oraz koszty związane z ubezpieczeniem na wypadek zaginięcia paczki, a to w towarzystwie assekuracyjnym angielskim pod nazwą : London Assurance Co. Ltd.

Paczki są doreczane adresatom w ciągu dwu miesięcy.

Zlecenia wykonujemy natychmiast po otrzymaniu zamówienia listownego z załączoną należnością, w czekach pocztowych „POSTAL ORDER“.

Zlecenia na poszukiwanie adresów przyjmujemy tylko w krajach sprzymierzonych i neutralnych. Opłata za znalezienie adresu wynosi LP. 3.000 a to przy zleceniu wpłaca się LP. 1000, zaś przy dostarczeniu adresu LP. 2.000.

(17)

STANISŁAW WILUCKI

POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE I ARMIA KRAJOWA

Budowa polskiego Państwa Podziemnego trwa od chwili zakończenia kampanii 1939 r. Cztery i pół roku tej niezmordowanej i krwawej pracy wydało owoce w postaci sprawnie działającego na terytorium Rzeczypospolitej aparatu władz, ząbionego ściśle z najwyższymi władzami państwowymi, przebywającymi w Londynie.

Dwa fakty: krystalizacja ustroju podziemnego Państwa Polskiego i wychodzenia z podziemi Armii Krajowej, stwarzają teraz właściwy moment do omówienia całokształtu dokonanego dzieła.

Przełomowym rokiem w procesie budowy podziemnego państwa był rok 1942. Dekret Prezydenta R.P. z 1 września 1942 r. o tymczasowej organizacji władz na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej stwierdził, że na cele podziemnej organizacji Państwa Polskiego stoją:

Delegat Rządu R. P. w randze wicepremiera;

Krajowa Reprezentacja Polityczna, działająca w charakterze parlamentu podziemnego i złożona z przedstawicieli czterech głównych stronnictw;

Komendant Armii Krajowej. Organami, kierującymi walką z okupantami, były: Kierownictwo Walki Cywilnej i Kierownictwo Walki Konspiracyjnej.

Równocześnie odtworzona została całkowicie administracja na niższych szczeblach organizacji życia państwowego. Władzę sądową objęły trybunały podziemne, których głównym zadaniem jest ferowanie wyroków na zbrodniarzy wojennych.

W tymże 1942 roku zakończono prace nad scaleniem Armii Krajowej pod jednym dowództwem.

Odtąd potoczyła się praca nad wykonaniem postanowień wyżej wymienionego dekretu, dążąca między innymi do przekształcenia Krajowej Reprezentacji Politycznej w ciało, określone formalnie w dekreście jako Rada Jedności Narodowej.

W dniu 3 sierpnia 1943 r. podano publicznie do wiadomości podporządkowanie Kierownictwa Walki Cywilnej i Kierownictwa Walki Konspiracyjnej jednej władzy, zwanej Kierownictwem Walki Podziemnej.

W dniu 15 sierpnia 1943 r. powstał doniosły akt, znany pod nazwą Deklaracji porozumienia politycznego Czterech Stronnictw. Stronnictwa te zobowiązały się współdziałać ze sobą w Kraju na terenie władz państwowych, popierając Rząd R.P. w Londynie, oraz nakreśliły zasady programu pracy w dziedzinie polityki zagranicznej i wewnętrznej w obecnym okresie i po zakończeniu wojny. Deklaracja ta ogłoszona została w tajnym organie „Rzeczpospolita Polska“, w nr. 66 z 30 sierpnia 1943 r.

Następnym z kolei krokiem było utworzenie Rady Jedności Narodowej przez rozszerzenie istniejącej do „tego czasu Krajowej Reprezentacji Politycznej. Rada Jedności Narodowej jest polityczną reprezentacją społeczeństwa przy Delegacie Rządu. Fakt powołania jej do życia ogłoszony został przez Delegata Rządu 9 stycznia b.r. Powstanie tej instytucji jest dowodem, że okres podziemnej walki Państwa Polskiego ma się ku końcowi i że zbliża się okres nowy, może najbardziej krytyczny — jawnej działalności w celu pełnego odzyskania i umocnienia praw Rzeczypospolitej, pogwałconych przez najeźdźcę.

Na tym miejscu wypada zaznaczyć celem zapobieżenia możliwym nieporozumieniom w zakresie nomenklatury, że „Polska Partia Robotnicza“, grupująca pod tą nazwą elementy komunistyczne, które kontynuują politykę Trzeciej Międzynarodówki, proklamowała powołanie do życia t. zw. „Krajowej Rady Narodowej“, której zadaniem ma być w przyszłości ustanowienie rządu marionetkowego. Zwodnicze brzmienie nazwy tej samowolnej instytucji nie jest oczywiście przypadkiem, lecz jeszcze jednym fragmentem metodycznego podszywania się komunistów pod zewnętrzne formy działalności Państwa i innych stronnictw politycznych. Już sama nazwa partii komunistów (PPR) obmyślona została celowo i brzmi podobnie do nazwy „PPS“. W myśl tej samej metody komuniści polscy tworzyli nomenklaturę swych organizacji bojowych.

Główny wysiłek Państwa Podziemnego zmierzał w kierunku organizacji Armii Krajowej, której zadaniem jest planowe i systematyczne niszczenie znajdujących się w jej zasięgu niemieckiej maszyny wojennej i wystąpienia w odpowiedniej chwili na rozkaz Naczelnego Wodza do generalnej rozprawy z wrogiem.

Walka z Niemcami na terenie Kraju nie była przerwana w żadnym momencie wojny. Nie zakończyła jej w październiku 1939 r. ustanie działań wojennych pomiędzy armiami regularnymi. Początki organizacyjne walki podziemnej datują się jeszcze z okresu, gdy Niemcy oblegali Warszawę. Inicjatywa w tym zakresie wyszła wtedy od czterech wybitnych przywódców politycznych: Niedziałkowskiego, Dębskiego, Rataja i Kwiecińskiego. Organizacje zbrojne Polski Podziemnej były zatem od samego początku związane z głównymi stronnictwami politycznymi. Tworzącą się armia podziemna reprezentowała wszystkie klasy i rozszerzała do maximum swe zdolności mobilizacyjne.

W dniu 17 maja 1940 r. powstała Naczelna Organizacja Polski Podziemnej, która jednak nie była jeszcze w stanie skupić w swym ręku wszystkich nici organizacyjnych. Praca, zmierzająca do scentralizowania dowództwa, zakończona została 1 września 1942 r. Wydany tego dnia dekret stwierdził fakt reorganizacji Armii Podziemnej, celem najlepszego przystosowania jej do dalszej walki z okupantami. Od tego momentu jednostki, walczące z ramienia partii, które dotychczas działały odrębnie, a mianowicie oddziały Stronnictwa Ludowego i Polskiej Partii Socjalistycznej, podporządkowane zostały zjednoczonemu kierownictwu politycznemu i wojskowemu. W chwili obecnej Polska Armia Krajowa obejmuje wszystkie poprzednie organizacje bojowe, utworzone przez różne ugrupowania polityczne, począwszy od lewicy, na prawicy kończąc, z wyjątkiem oczywiście Polskiej Partii Robotniczej.

Co się tyczy tej ostatniej partii, to działalność jej w zakresie walki zbrojnej od samego początku rozwijała się nieprzerwanie dla Armii Krajowej. Komuniści odrzucili w grudniu 1941 r. propozycję Komendanta Armii Krajowej, że będzie on zaopatrywał ich nie licząc zresztą oddziały w żywność i traktował je jako niezależną jednostkę, żądając w zamian, aby współdziałały pod jego zwierzchnictwem w planowym sabotażu przeciw Niemcom. Komuniści odpowiedzieli negatywnie i obrali inną drogę — tę samą, o której wspomnieliśmy wyżej: samodzielne działania pod zwodniczymi etykietami. A więc zapożyczyli żywcem nazwę „Gwardii Ludowej“ od organizacji PPS i pod tą nazwą rozpoczęli swą robotę. Oddziałom swym nadali nazwę „batallionów chłopskich“, znowu identyczną z „baonami chłopskimi“ Stronnictwa Ludowego. W końcu nazywać zaczęli swą organizację zbrojną „Armią Ludową“, analogicznie do państwowej „Armii Krajowej“.

Siły Armii Krajowej dzielą się na dwie części:

1. jednostki operacyjne, będące w akcji na froncie podziemnym;
2. jednostki rezerwowe, nieustannie szko-

lone i oczekujące w gotowości bojowej na rozkaz powszechnego wystąpienia.

W dniu 15 stycznia b.r. oddziały operacyjne dochodziły do 200.000 ludzi. Ten stan uważało naczelné dowództwo za wystarczający do prowadzenia działań. Ponieważ istnieje zawsze możliwość natychmiastowego wprowadzenia do akcji nowych jednostek z sił rezerwowych, nie jest wykluczone, że w związku ze zwiększonymi zadaniami, na które wpłynęła obecna sytuacja na froncie wschodnim, siły operacyjne wynoszą teraz więcej żołnierzy niż w styczniu. Co się tyczy jednostek rezerwowych, to stan ich jest o wiele liczniejszy, lecz, naturalnie, nie może być ujawniony.

Armia Krajowa ma już za sobą poważny bilans walk i strat, zadanych nieprzyjacielowi. Pomimo że warunki terenowe w Polsce nie sprzyjają walce zbrojnej w tym stopniu, jak np. na Bałkanach — Armia Krajowa stoczyła z Niemcami niejedną regularną bitwę, nie licząc wielkiej ilości potyczek i ataków na komunikację, magazyny, urzędy, więzienia i t. p. Pamiętamy dobrze bitwę pod Krasnobrodem w lasach Zamojskich na Lubelszczyźnie, rozegraną w dniach 4—12 lutego 1943 r. Niemcy musieli w niej użyć oddziałów wojska i policji w sile około 2.000 ludzi z samolotami, czołgami i artylerią. Bitwa uwięczona została częściowym sukcesem Polaków, którzy silnym natarciem z zewnątrz przełamali pierścień sił wroga i otworzyli drogę wyjścia obleżonym oddziałom zbrojnym i gromadom broniących się chłopów. Terenem ustawicznych walk są lasy polskie, dające oddziałom Armii Krajowej najlepszą podstawę wyjściową do działań i warunki ukrywania się. Wiele walk rozegrało się w lasach Augustowskich, gdzie oddziały polskie rekrutują się m. in. z Polaków, zbiegłych z armii niemieckiej po przymusowym do niej wcieleniu. Silne oddziały armii polskiej działają w lasach Tucholskich na Pomorzu; składają się one po większej części z Kaszubów, wśród których jest coraz więcej dezertersów z niemieckiego wojska. Jednym z większych starć na tym terenie była bitwa, stoczona w roku ubiegłym pod miejs-

cowością Osiek. Bardzo silne ośrodki akcji podziemnej istnieją w Kieleckim. Ostatnio mieliśmy tam do zanotowania jedną z największych bitew, jakie się rozegrały na terytorium Polski okupowanej. Była to bitwa, stoczona w końcu marca w lasach pod Skarżyskiem. Wzięło w niej udział 4000 Niemców, wspartych przez 12 bombowców i 9 myśliwców. Po ciężkiej walce, trwającej pół dnia, Polakom udało się rozewrzeć otaczający ich pierścień niemiecki i wycofać się. Niemcy stracili setki żołnierzy w zabitych i rannych, a ponadto zestrzelono im samolot. Bitwa pod Skarżyskiem była jednym z epizodów przetrząsania przez Niemców lasów celem zniszczenia baz wypadowych Armii Krajowej. Niemcy podjęli tę akcję w energiczny sposób, chcąc za wszelką cenę zlikwidować działające tam jednostki polskie w krytycznym dla siebie momencie wojny. Nie osiągnęli jednak wyników ani w Kieleckim, ani w borach Tucholskich, ani w lasach Karpaccich.

Z poważniejszych operacji Armii Krajowej zasługują m. in. na uwagę wypadki przeprowadzone poza granice Kraju, a mianowicie na Słowację i na teren Prus Wschodnich. Nadmienić również należy, że zasięg działania Armii Krajowej rozciąga się i na Rzeszę, gdzie organizowane są akcje odwetowe za zbrodnie, dokonane w Polsce. Z Armią Krajową jest organizacyjnie związana olbrzymia rzesza polskich robotników, wywiezionych przymusowo do Niemiec. Ludzie ci pozostają w kontakcie z Krajem i gotowi są do wystąpienia we właściwej chwili na rozkaz Komendanta Armii Krajowej.

Nie będziemy wspominać szerzej o nieustannie zapędzających w prasie rubryki wiadomości z kraju — atakach żołnierzy Armii Krajowej na pociągi, odbijaniu więźniów, niszczeniu spisów kontyngentowych w urzędach gminnych, wysadzeniu w powietrze środków komunikacji, mostów i t. d., a nade wszystko o wykonaniu wyroków śmierci, wydanych przez podziemne trybunały na niemieckich zbrodniarzy wojennych. Na czele nazwisk zgładzonych dygnitarzy figurują: druga osoba po gubernatorze Franku, Wilhelm Krueger, „SS Gruppenfuehrer“ i szef policji w „Generalnym Gubernatorstwie“, zabity w Krakowie 2 maja 1942 r., oraz szef Gestapo okręgu warszawskiego, Kutschera, zgładzony 1 lutego b. r. Sam Frank zdołał wyjść cało z dwóch zamachów.

Dnia 27 października 1943 r. Rada Ministrów na posiedzeniu, odbytym w obecności Naczelnego Wodza, powzięła uchwałę o wzmożeniu działań zbrojnych przeciw Niemcom i przygotowaniu się do ostatecznej z nimi rozprawy. Decyzja ta zapadła wkrótce po pamiętnych łapaniach i egzekucjach październikowych w Warszawie, zapoczątkowujących nawrót terroru po nieudanych próbach zjednania sobie Narodu przez władze okupacyjne.

O nasileniu działań naszej armii w Polsce świadczą opublikowane nie dawno cyfry strat niemieckich, poniesionych w roku ubiegłym. Wśród tych cyfr — niekompletnych zresztą, bo obejmujących tylko dane, które doczekały się urzędowego potwierdzenia — zasługują na szczególną uwagę: 81 potyczek, względnie bitew, wykonanie wyroków śmierci na 13 wyższych funkcjonariuszach administracji okupacyjnej i 1163 agentach Gestapo, wykoślenie, względnie zniszczenie 81 transportów kolejowych, 474 ataki na transporty materiału wojennego, wysadzenie w powietrze 6 mostów i 9 stacji kolejowych, bogaty plon zorganizowanego sabotażu w postaci uszkodzenia 2013 parowozów, 9980 ciężarówek, 212 cystern, 346 obrabiarek i zniszczenia 47 magazynów wojskowych.

W rezultacie tak szeroko zakrojonej akcji bojowej Armia Krajowa wiąże w Polsce — nie licząc obszarów, wcielonych do Rzeszy — około 48 dywizji niemieckich, a mianowicie:

a) 5 pełnych dywizji (ponad 60.000 ludzi), skoncentrowanych na poligonach i przeznaczonych do zadań specjalnych na terenie Polski;

b) garnizony w sile około 14 dywizji (156.000 ludzi);

c) policję i oddziały partyjne w łącznej sile 352.250 ludzi, t. j. równowartość 29 dywizji.

Gdyby nie działania Armii Krajowej i stały opór ludności polskiej, wystarczyłoby okupantom dla utrzymania porządku w Polsce cywilne formacje półwojskowe w sile 180.000 ludzi (Sicherheitsabteilungen i Selbstschutz), a owe 48 dywizji mogłyby być wysłane na front.

Wobec przesunięcia się frontu wschodniego na terytorium Polski oraz zbliżającej się ofensywy lądowej Sprzymierzonych na zachodzie Europy — działalność Armii Krajowej staje się coraz bardziej jawna. Dociera do nas coraz więcej wiadomości o organizacji, stanie liczebnym i nazwach jej jednostek, jak np. o wkrzeszonych na terenie Nowogródzkiej 77 pułku piechoty lub o pułku im. Bolesława Chrobrego, w którym służy wielu Francuzów. W związku z nawiązanym współdziałaniem z armią sowiecką zaznaczyły się od razu wzmożone operacje Armii Krajowej na froncie wschodnim i na jego tyłach.

Nadechodzące dni przynosić nam będą niewątpliwie wiadomości o nowych skutecznych operacjach polskich sił podziemnych na tym froncie.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

* *

By nie dziwić się, wiedzieć, na to są uczeni,
Nam wyjść z podziwu trudno, myśmy zaślepieni.

Nad nimi może prawda, może tylko złuda,
Dla nas wszystko jest żywe, chleb, wino i cuda.

Oni przejrzą rzecz każdą, zbadają na nowo,
Dla nas jedno początkiem wszystkiego jest: słowo.

Dla nas drzewa i wiatry i inni koledzy
Bezprzyczynnej zadumy, dziejącej się wiedzy.

Dla nas sens z poza sensu, z za śmierci i życia
Oko nikąd niewidne, patrzące z ukrycia.

Wzrok, co biegnie na wylot, oświeca na przestrzał:
Profesorze zaświatów, daj, coś nam obwieszczać.

Nauczycielu trudny, źródło tajemnicy,
Przecucie daj nam wieczne w sumiennej żrenicy.

Widzenie śród ciemności, słowo, co się ziści,
Nutę, byśmy ci grali, ślepi organiści.

Przedrukowano z nr. 39 nowojorskiego „Tygodnika Polskiego“

WANDA FALK

WERONIKA

Miał pot na skroniach, w oczach łzy i krew
na ustach —
Jak dobrze, Weroniko, że miałas swą chustę.

Choć na jedną chwileczkę, choć na
okamgnienie,
Pomógłś Mu w tym bólu, ulżyłaś

w cierpieniu.

Tyś prosta, Weroniko, więc zamiast z daleka
Wielbić Boga — podeszłaś blisko, do
człowieka.

Tyś dzielna, Weroniko, gdy inni w pobliżu
Padali z żalu, tyś jedyna przyszła doń,
do krzyża.

Tyś święta, Weroniko, więc ciebie obdarzył
Najświętszą relikwią swej bolesnej twarzy.

Co było ludzkie w Bogu — bezsilność i męka —
Cieniem na białej chuście zostało w twych
rękach.

Tyś mądra, Weroniko, więc nas poprzez wieki
Uczysz, czym być powinien człowiek dla
człowieka.

I wołasz mocnym głosem, pewnie i po prostu:
Co jest ludzkie w człowieku, to właśnie
jest Boskie.

IGNACY KLESZCZYŃSKI

„KURIER POLSKI” W BAGDADZIE

W cieniu gestych i soczystych południowych roślin, pośród kwiecistych trawników, barwnych, odorujących kwiatów, pod wysokimi drzewami iglastymi — przypominającymi sosny nasze — pełnymi rozkrzyczanego świętego plectwa Egiptu, stały szare, koloru piasku pancerki. Tuliły się wśród zieleni, a obok zwiisały złożone moskitiery. To szwadron pancerny Karpackiego Pułku Ułanów leżały, trzymając drugą linię frontu na zaporach nilowych, Barrage.

Ciężkie dnie kampanii afrykańskiej, dnie moskitów, upalnego słońca, złoistych owoców drzewa mango i ich gorącego, pełnego sytości i dojrzałości zapachu.

— Zameldować się w dowództwie.

Rotmistrz adiutant podaje depezę do wódcy armii. — Zamelduję się natychmiast z rozkazu u ministra Kota w Teheranie.

Smutno żegnać kolegów, mundur, pancerki — chwila wahanja. Sucha twarz rotmistrza uśmiecha się: — Powodzenia.

Już nie ma czasu na pożegnanie. Samochód odjeżdża i wyrzuca mnie na ruchliwym dworcu kairskim. Haifa, Damaszek — szlaki mniej czy więcej znane.

W Transit Campie dają każdemu żołnierza kolację, ale niezmordowana YMCA już otwiera Dom Żołnierza na krańcach miasta, w Wazirji. Byłem wówczas pierwszym gościem na przełomie września i października 1942 r.

Bagdad ma długą ulicę Al-Rashid, o beznadziejnie nudnych domach z podcieniami. Ulica wydaje się dłuższa w miarę podnoszenia się słońca na nieboskłon, a rtęci w termometrze. Dom Żołnierza leży u jej krańca — wieczorami z piaskiego dachu widać szarą, zawieszoną, mglistą małą pustynnego pyłu nad miastem z tysiąca i jednej nocy, nocy przeważnie bezsennych z gorączki i duszności.

Kiedyś w taki wieczór październikowy zjechał przed Dom Żołnierza samochód z Teheranu, przywoząc znajomych, dalekich przetrzebień i czasem, a bliższych pracę. Z wozu zeskoczył jakiś chorąży, mocno pasem ściśnięty, o twardych krokach żołnierskich i głosie, znanym z pracy w redakcji, z wieczorów poetyckich literackiego Krakowa — Anatol Krakowiecki. Poezja, literacka przeszłość i dziennikarstwo zaniosła go jako niebezpiecznego człowieka, wolnego człowieka daleko na północ w kręgi polarne. Kołyma.

— Okazałem się znakomitym materiałem na kopacza złota. Wiesz, że mam kwalifikacje — rzekł, odgarniając swą siwą czuprynę kikutami odciętych po odmrozeniu palców. — Towarzystwo wesołe, bo i Jeżow był, a także i inni...

Za nim zeskoczył cień wysokiego oficera, znanego i pod Narvikiem i pod Tobrukiem — Mieczysław Pruszyński. Obok stał w ogromnym hełmie karkołomny niski, z dużym pistoletem u boku — znana postać z Brygady Karpackiej — prof. Kazimierz Grzybowski. Kolega Jan Bielatowicz — mocno dysząc, rozgląda się za napojami orzeźwiającymi, może być piwo. Czterech karpaczyców i jeden kałymiak, to jest obywatel obozu zesłania na Kołymie, z tytułem honorowego kopacza złota, nadawanego przez republikę Irucko-Jakucką po dwu latach pracy dla dobra Związku.

W dużej sali Domu Żołnierza kręca się beznadziejnie wiatraki na suficie, miłe „pestki” z czarną Halą na czele sprzedają ciastka na tłuszczy baranim, dyrektor Trypka zachęca do oranzady, z mętnych fal Tygrysu wytwarzanej, i zapewnia, że baranina na kolację będzie z takiego barana, który nie cuchnie. Siedzimy na wysokim podium scenicznym i mówimy. W Bagdadzie ma powstać gazeta dla żołnierzy. W tym celu przyjechali tu wcześniej dyr. Olszewski i Stanisław Weinberg. Gazeta będzie wydawana przez Ministerstwo Informacji dla wojska. Na razie z potrzebnych akcesoriów są przede wszystkim... czytelnicy i szereg drukarni arabskich. Ale znaki arabskie nie są przecież takie trudne i do końca wojny można się nauczyć je czytać od lewa do prawa i od prawa do lewa. Nie jest więc tak zupełnie źle.

Wiatraki mełły beznadziejnie gorące powietrze, a na sali siedział tłum przedstawicieli wojsk angielskich i hinduskich, które korzystają również z gościnny Domu Żołnierza Polskiego.

— Papieru nie ma, ale będzie, czionki polskie nadejdą z Londynu, bo już je zamówiono, panowie jesteście urlopowani z wojska, ale narazie żołąd pobieracie i władzom wojskowym podlegacie. Pieniądże będą.

Wiatraki kręca się niezmordowanie, ale nam pot spływa po twarzach, wieje chyba w pustyni burza piaskowa, psia krew. Jutro trzeba porozumieć się z władzami arabskimi, angielskimi, polskimi, trzeba szukać drukarni, papieru, farby, składowców, drukarzy...

Idą dnie, przesuwające się ciężko między gęstym i rozkrzyczanym tłumem Arabów. Irak zwołuje radę ministrów: Polacy chcą mieć dziennik polski w Bagdadzie! Na razie drukują Anglicy, chcieli drukować Niemcy, ale nie zdążyli, teraz Polacy. Idą interwencje do samego króla, a z powodu jego małoletniości — do regenta. Niezmordowany lekarz nadworny i przyjaciel Polaków, dr. Makowski Pasza, w recepcie codziennie rodzinie królewskiej dopisuje załatwienie sprawy dziennika.

Przytłuje z Teheranu min. Kot. Rozmo-

wa na werandzie w poselstwie omal jak na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Profesor i uczeń:

— Potrzeba mi młodych, młodych na front propagandy polskiej. Na tamtym froncie już byliście, teraz wziąć się trzeba do pióra. Ale szybko zwijać się musimy, bo czasu mało.

Młodzi czasami deba stają, prychają — nowy sprzęt motorowy dostaliśmy. Ten chce wracać do batalionu, tamten do pułku.

— No, do pracy — kończy profesor.

Sytuacja mieszkaniowa została rozwiązana przez dwa egzotycznie brzmiące słowa: Selim Habib. Nasz przyszły kolporter, nasz dostawca i gospodarz. Umieścił nas w hotelu, który później stał się Mekką wszystkich kolegów z wojska, który przez długie miesiące pracy bagdadzkiej stanowił redakcję i mieszkanie, a raczej tylko redakcję.

I przyszły zaduszek bagdadzkie. Biela się liczne krzyże tych, którzy Rosję przewędrowali, by paść tutaj. Płoną pochodnie, płynnie pieśni, a myśli leci na cmentarze w pustynię rzucone, obok drogi Bardyjskiej w Tobruku, buczkami z asfaltu ogrodzone. Czy Niemcy uszanowali groby naszych kolegów?

Prof. Grzybowski działał. Jeździł, rozmawiał, tłumaczył. Targował się z trzema cenzurami, proponował wydawanie gazety jako biuletynu, by uniknąć długotrwałej licencji. Wreszcie jeszcze kilka innych zebrał rady mini-

rozdzielić funkcje. Redaktorem technicznym będzie Anatol, literackim — Bielatowicz, depesz — Weinberg, polityka i całość — wyżej podpisany. Łamać mieliśmy na zmianę z Krakowieckim i Bielatowiczem. Na razie łamał się sobie głowy nad tytułem. „Kurier Polski” był już w Bukareszcie, niech będzie w Bagdadzie. Materiał redakcyjny dostarczy Reuter, może kiedyś nadejdzie PAT, artykuły będziemy pisać wszyscy, a resztę da ogromna i soczysta gleba żołnierska. Matuszczak, aczkolwiek pointylista, dywizjonista, i w ogóle ekwilibrysta — zrobi tytuł, a pani Aniela Maleszewska, jedyna kobieta i nasza administratorka, wypłaci mu za to pieniądze, gdy tylko one nadejdą.

Redakcja już była, drukarnia też, i to niezwykle malowniczo położona w wąskim zaułku o nazwie, którą trudno pamiętać, na przeciw meczetu i pośród domów o zapuszczonych storach, w których mieszkali Arabki, o ciemnych czarczafach, odprawiające po przejściu Europejczyka specjalne egzorcyzmy. Wszystko już omal było, z wyjątkiem kilku drobnych rzeczy, jak pieniądze, czionki, a szczególnie czionki tytułowe, które wypożyczano z wszystkich możliwych drukarenek bagdadzkich.

Ale tytuł już był i telefony były od propagandy wojskowej z niezwykle czułym zaopiniowaniem, czy aby jest to prawda, że ma się ukazać dziennik Ministerstwa Informacji w



Redakcja „Kuriera Polskiego” w Bagdadzie

strów, kilkanaście rozmów z przedstawicielami ministerstwa spraw wewnętrznych, z tuzinem bejów, baszów i „sirów” — pozwolenie jest. Nie trzeba nawet jednej trzeciej części gazety drukować w języku arabskim, ba, nawet cenzura nie będzie taka groźna, bo przecież tylko iracka cywilna, angielska wojskowa, iracka wojskowa i polska wojskowa. Wystarczy. Papier przyjdzie z Bombaju, dopłynie. Napewno dopłynie, bo ostatnie wiadomości donoszą, że łódzie japońskie i niemieckie nie ukazały się na morzu Indyjskim od dwóch tygodni.

Smutne twarze okrągłego stołu w kącie dużej sali w hotelu Maude czasami już się uśmiechały, aczkolwiek nie było to jeszcze wszystko jasne i tak zupełnie proste z mającym ukazać się dziennikiem. Grzybowski, jako przedstawiciel Centrum Informacji na Wschód, urzędujący jeszcze w mundurze porucznika w Bagdadzie, był przede wszystkim profesorem prawa międzynarodowego. Anatol Krakowiecki był nie tylko podporą kopalni złota na Kołymie, ale również niegdyś kopał złoto w koncernie IKC, dziennikarz więc stary, znany, który niejedną wódkę już przepił w pracy. Jan Bielatowicz był rudy, a więc musiał lubić piwo, był poetą, poza tym żołnierzem i indywidualistą. Fr. Olszewski już wjechał, więc nie tworzył odrębnego obozu, a Stanisław Weinberg był tłumaczem zaprzyjętym Reutera, a poza tym cywilem, a ja byłem cywilem w wojsku.

Trudności ciągle jednak narastały. Wojsko żołąd nadal wypłacało i nikogo na razie nie urlopowano. Tę niewiadomą powiększał jeszcze brak pieniędzy, oraz podstawy każdego dziennika — drukarzy.

W tej sytuacji niezmordowany Anatol Krakowiecki wmawiał wszystkim z niezwykłym uporem, że Arab będzie doskonale składał po polsku. Czyniono już próby. W dzień Arab składa po polsku z czionek bez znaków polskich, a w nocy dwóch innych poprawiał złożony tekst. Po dwóch próbach okazało się, że trzeba będzie dwóch nocy do poprawy tego, co w dzień złożył jeden Arab, a jeden składał tyle, co polski składacz w godzinę. Wreszcie któregoś dnia wyładowało w komendzie miasta Bagdad trzech żołnierzy: Gogolewski, Krupski i Dunin-Borkowski. Gogolewski był tym, o kim marzyliśmy od dawna wśród bezsennych nocy z tysiąca i jednej nocy, był składaczem maszynowym z najprawdziwszego zdarzenia, Krupski miał zostać metrampazem, a Borkowski parać się miał korektą, a w przyszłości i tłumaczeniami. Gazeta nabierała pełniejszych kształtów. W dzień ten twarze przy okrągłym stole były uśmiechnięte, a Kaz. Grzybowski podwyższył całemu zespołowi kredyt moralny o 50%, natomiast wojsko upominało się o urlopowanych redaktorów. Pieniądże nie nadchodziły.

Wreszcie siedliśmy, by obmyślić tytuł i

zbyt błada, trzeba więc dodać farby. Tłumaczmy to Arabowi, który kręci głową, nie bardzo rozumiejąc, o co idzie. Krakowiecki szeroko macha ręką i na puszkę pokazuje. „A iż” mówi Arab. Maszyna rusza po raz drugi, jeszcze jest jakaś korekta. Wstrzymać maszynę.

Bladym świtem idziemy przez puste ulice Bagdadu do hotelu Maude. Jest kilka kilometrów. Idziemy podcieniami, mijamy zbrojnych Arabów, wprost z pustyni tu przybyłych. Z dala już widzimy światło w pokoju Grzybowskiego. Chodzi pewnie zdenerwowany po pokoju i czeka. Wręczamy mu pierwszy numer „Kuriera Polskiego” w Bagdadzie z dn. 3 grudnia 1942 r. Tego samego dnia zadzwoniła propaganda wojskowa z zaopiniowaniem, kiedy ukaże się następny numer. Ukazał się on dn. 4 grudnia i tak ukazywał się codziennie do końca sierpnia 1943 r. Kolejny i przyjaciele z Propagandy A.P.W., z redakcji „Orla Białego” Julek Mieroszewski, Zdzi-Bau, Raciński, Piestrzyński przyzwyczaili się do „konkurencji”, nawet ją czytali, by... mieć materiał do dyskusji... A żołnierz na pustyni przywiązywał się do pisma, skoro nadchodziły do administracji depesze spod malowniczych gór Kurdystanu: „Więcej gazet chcemy”. „Kurier Polski” mimo największych upałów, wzrost, pęczniał, zmienił format wspólnym wysiłkiem i trudem. Przez pokój 22 w hotelu Maude przewijały się setki mundurów, — koledzy, przyjaciele, czytelnicy. Często, wracając do domu, zastawaliśmy w pokoju, w którym mieszkaliśmy z Bielatowiczem, stertę kurtek ułanów, jeden kolega chodząc w pijamie mojej, drugi w płaszczu Bielatowicza, trzeci w ogóle bez niczego, czwarty siedział lub szukał za łóżkiem napojów chłodzących. Na nasz widok dodawali szybko wyjaśniająco i zachęcająco: Bolek i Władek są w lazience i kąpią się. W ten sposób redakcja nie tylko duchowo skupiała wokół siebie wszystkich piszących i czytających żołnierzy. Bielatowicz czasami załamany się nerwowo wskutek trudności położenia się do własnego łóżka. Proponował więc wywieszanie znanych i dowcipnych karetek o chorobach zakaźnych, żywych psach i t. d. Ale kiedy nadjeżdżali nowymi partiami koledzy z odległych Kana kinów, Kizil-Ribatów, czy Mossulów, wszystko było po staremu.

Redakcja była więc ośrodkiem polskim w Bagdadzie. Tworzyła ośrodek społeczny tego nowego przekroju wojska polskiego, tych z Rosji, i tych z Anglii, i tych z Tobruku. Później przyszło powodzenie zewnętrzne, tworzyła się więź z naszymi sojusznikami brytyjskimi, uzupełniała bogaty wkład kultury polskiej, jak i wniosła na teren Iraku żołnierzy polski — staniem wydziały Informacji i Propagandy Armii. Największa sala króla Fajsała w Bagdadzie była świadkiem triumfu polskiej sztuki, polskiego życia artystycznego, zyskując wielu przyjaciół wśród tak przychylnych ludności Iraku. Instytut Brytyjski gromadził twórczość polskiego malarstwa, polskiej karykatury i polskiej fotografii. Jarema, Matuszczak, stworzyli nowy ruch wśród malarzy irackich. W egzotycznym kraju polskość święciła tryumfy. Na wniosek b. premiera Iraku, Adnana, z czołowych polityków, Tefeik-Suedi, „Kurier Polski” zajął honorowe miejsce w Muzeum Bagdadzkim.

Równocześnie dziennik wiązał ze sobą żołnierzy, tworzył im w ciężkich chwilach męczącego i w irackiej pustyni — odpoczynek, a przede wszystkim informował i budził do szerszych myśli. Świadczył o tym stopy listów, które do redakcji zawsze nadchodziły, świadczą o tym ogromne zamówienia dostarczania dziennika, których, niestety, nie zawsze wykonać było można. Mielśmy ograniczone możliwości papieru, który starczył jedynie na 12.000 egz. dziennie, mieliśmy ograniczone możliwości techniczne. Nie mniej „Kurier Polski” swoją rolę całkowicie spełnił. Informował i budził do pracy nie tylko pisarskiej.

Powstanie dziennika i jego historię można ująć w mniej czy więcej barwny sposób. Będzie ona zawsze egzotyczna, niecodzienna, tak jak niecodzienną jest droga naszej emigracji. Przykładem jej był mój następca, a długoletni szef w Polsce — Ludwik Rubel. Przyjechał do dalszej żmudnej pracy.

„Kurier Polski” to nie tylko egzotyka za wojów arabskich przyjaciół, to nie tylko śpiewające meczety pięknego w zabytkach Bagdadu, pełnego tej atmosfery gorącej wywarem Orientu, ale to i wkład pewnej myśli politycznej. Budził on, propagował i szerzył myśl polityczną, która niejednokrotnie wielką rolę odegrała i zapewne jeszcze odegra. Byłoby może przedwczesne pisać o tym w tej chwili.

Znacznie przyjemniej jest mówić o życiu bagdadzkim, o tym całym świecie artystycznym, kulturalnym, który się skupiał wokół redakcji, o tych przypadkowych często koncertach naszych śpiewaczek Jasieńskiej i Ignatowicz w salonie hotelu Maude, które skupiały licznych gości cudzoziemskich, spełniając i w tym zakresie swoją rolę.

W końcu sierpnia 1943 r. „Kurjer Polski” w Bagdadzie odszedł z Iraku, by złączyć się z jerozolimską „Gazetą Polską” w jeden dziennik.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WIERSE

ZIELONY PAGÓREK

Po tym zielonym pagórku
z kamieniami białymi
chętniebym chodził z córką,
siadał na ziemi,

patrzyłbym na obłoki,
gwarząc, bzdurząc.
Świat tu niebardzo szeroki,
słońca dużo.

Kochałbym moją Joasię,
córkę-bzdurkę,
a światu powiedziałbym „Zasię!”,
wlażyłbym na chmurkę
i poleciałbym na chmurce, na białej,

do doliny Rostoki,
żeby tam życie całe
ohodzić z Anką po górach,
patrzeć na Hawrań i Murań,
wlażyć w potoki.

Ale Anka daleko i już podrosła,
a chmurki nie było, więc nie doniosła.
Myślę sobie o zielonym pagórku
jerozolimskim
i jestem z córką.

Nikt mnie tam nie zaprowadzi
i nikt na to nic nie poradzi.
Dowidzenia, Alicjo, Krystyno,
pójdziecie górą, a ja doliną.

MARJA

Siedzisz w kuchni i liczysz kartofle,
przy tobie brat, starszy;
rachunek w sklepiku, dziurawe pantofle:
nie starczy...

W dzień sprzedajesz mydełka po znajomych,
po obcych
(dlaczego przestali być mili?).
„Nie trzeba? Dowidzenia“. I znajdziesz się
w kropce:
do innych zadzwonisz po chwili.

Wieczorem: kelnerka. „Pół czarnej?“ —
„Pół czarnej“.

Podasz i chwilę spokój.
Stoisz ze sztucznym uśmiechem i z charme'm,
i z łezką w oku.

Może w nocy przyjdzie Gestapo?
Wstaniesz błada z płaczącą córką,
gdy będą plugawą łapą
przetrzasać moje biurko.

Co ta wojna w tobie zabiła?
Niema mnie, niema teatru...
Wołam do ciebie, miła,
wołaniem wiatru.

MOJEMU SERCU W PALESTYNIE

Bezlitośnie mijają dni,
miesiące, lata...
Może się tylko śni
inna część świata?

Może to jedna ze złud,
co mnie uśmierca:
nowej miłości głód,
inna część serca?

Może to schyłek lat?
Mijają lata...
Więc naco mi nowy świat,
inna część świata,

skoro czy tu, czy tam,
w życiu zawiłem
trwale to tylko mam,
co utracilem?

KALINIE

Tej nocy płakałem
(nie przez ciebie),
wiersz napisałem,
rzucam za siebie,
niech potoczy się księżycem po niebie.

Może ktoś się nad nim rozpacze,
jak ja, brzocho, wierzbo, kalino,
i spakuję swoje rozpacze,

i pójdę, chociażby boso,
tam gdzie oczy poniosą,
drogą nie twoją, inną.

Tak mi żal, że wszystko daleko,
coś tam zostało w człowieku:
piszę wiersze, nie śpiam nocą, —
poco?

CYGANKA

Nie wiedziałem, że jesteś cyganką,
no bo skąd? —
szare ubranko,
włosy blond.

Ale ty wróżysz z ręki,
że będzie źle
i że pójdę na męki,
pijane dziecko we mgle.

Okazało się, że w ręku cekiny
i brudna talja kart,
że wcale nie jestem winny,
tylko niewiele wart.

I odeszłaś z zielonemi oczami,
paląc papierosy...
Będę myślał czasami,
jak kręcisz włosy.

O KALIFIE

To przez ciebie ten wiersz, —
chyba już wiesz?

Palilem z Kalifem nargile,
zachciało się odejść na chwilę,
a Kalif, nie myśląc długo,

uciął głowę, przyprowadził drugą.

W tej drugiej głowie chyba nic więcej
prócz kwiatów stu Barwistanów.
Chcesz ściąć, to zetnij i nie zamęczaj,
ale się jeszcze zastanów.

MARTWA NATURA

Obrócę się twarzą do ściany,
moje miłe malarskie donny,
bo jestem zlekka zawiany
i zasnąć skłonny.

Jeśli zdążę, to wiersz napiszę,
choćby niewielki:
widzę sztuczny kieliszek
obok zielonej butelki...

(To bardzo malownicze,
wszystkiego nie wyliczę).

Pudełko od sardynek.
Różowe kwiatki — upominek.

Pomarańczowe skórki...

Prócz tego widzę z zachwytem,
jak pod samym sufitem
fruwają przybrane córki!

Jedna cała różowo-niebieska,
a druga — rzecz ciekawa! —
popielato-biała po wierzchu,
a w środku zielonkawa.

Dobranoc, bo niebezpiecznie
patrzeć się wgórę,
ale wy mi obie koniecznie
namalujcie tę martwą naturę.

KAROL KLESZCZYŃSKI

Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI

Obóz wojska polskiego podnosił się z
czasowego pobytu w egipskiej pustyni.

Zarządzono pogotowie marszowe.
W oddziałach zapanowało rozgorączko-
wanie. Wszystko — składnie, równomiernie
przygotowane — czeka swych rozkazów.

W noc zimną i wilgotną wsiedliśmy na sa-
mochody. Wiatr nieprzyjemnie zawiewał.
Księżyc chylił się ku krańcowi pustyni. Żegna
nas.

Daleko, w półmroku wspomnień zostawał
Babilon.

Zadrgały śruby okrętowe. Wyjeżdżaliśmy
z długiego mola. Port ginał za horyzontem.
Potężne fale Śródziemnego morza bity o bur-
ty okrętu przypomnieniem, historią starożyt-
nych szlaków, w Kleopatrowe dziwy zam-
kniętych.

Mijaliśmy Bardię, polskim artyleryjskim
odgłosem tej wojny owianą, Tobruk, krwią



Rys. Marian Kościółkowski
Pożegnanie Egiptu

Samochody, prowadzone sprawną ręką
naszych „drajwerek“, skacząc to w lewo, to
w prawo, podjeżdżały do stacji kolejowej
Kassasin.

Ścisk, kotłowniana ciał, worków, plecaków,
chlebaków ustała, skoro pociąg drgnął, za-
krztusił się, szarpnął i po kilku metrach sta-
nął. Ale za chwilę znowu wagony gwałtownie
o siebie stuknęły. Lokomotywa pociągnęła za
sobą dziesiątki wagonów. Gromada ludzi i
rzeczy wcisnięta w ciemne, brudne wagony
dziwnie zamilkła. Pociąg biegł, wystukując o
szyny bitewną dal.

A później, objuczony szereg w cieniu
wielkiego portu ładuje się na barki, duże, pa-
kowne, szerokie i długie. Z powrotem obóz.
Tym razem tylko przejściowy. Wysokie, bia-
łe namioty równym rzędem rozrzucone na
brudnym, muszelkami zdobionym piasku.

W dnie wyczekiwania wtłoczyła się nuda.
Potwornie przedługie ogniki pod kuchnią,
gdzie niegdzie radosny śmiech lub cicha pio-
senka dopełniały godziny.

Brygady Karpackiej poświęcony, trudem i
znajem wielomiesięcznej obrony otoczony.
Daleko, z błękitem szeroko rozlanych wód, zo-
stała niezwykła, skalista Malta.

Wracaliśmy do Europy. Po tylu latach
rozłąki, tylu latach wędrówki jakieś nowe ży-
cie odradzało się w nas. Zbliżaliśmy się do na-
szego starego kontynentu. Jednocześnie czu-
liśmy, że biegniemy po śladach historii, że z
czasów Ramzesów przenosimy się w czasy
Cesarów. Tam się świat kończył, tu zaczynał.

Odradzał się świat w obrazach. Oto se-
nacka sala pełna sędziwych Rzymian, z twa-
rzami jak z brązu, siedzących w togach z
nisko ciętymi włosami na czaszkach. Odzywa-
ją się Plebeusze walką słuszną, walką o
sprawiedliwość, o równość demokratyczną
obywateli. Brzmia twardo i bezlitośnie odgło-
sy walk z doliny Renu, z nad rzeki Sabis, z
Uxellodunum, spod Dyrrhahium, Farsali,
brzmiały surmy niezwykłych zastępów Han-
nibala. Oto Cycero: „...śmierć Katylinie...“
A na Via Appia legion weteranów buntiem się



Rys. Marian Kościółkowski
Na ziemi Królowej Bony

Wieczorem, namioty zapadały się w czar-
ną guchość nocy. Ginęły dla świata. Ułożone
do snu muszelki budziły się pod wartownika
krokiem lub przewracały się po całodziennym
ruchu ziarenka drobnego piasku.

I znowu znaleźliśmy się na barkach, a z
barek — na okrętach.

Nagle zrobiło się jakoś przykro. Dziwnie
przykro. Zostawialiśmy za sobą pustynię, tę
pustynię, na którą tyle złorzeczeń spadło, ty-
le wygadywań. Dziś wyczuwaliśmy coś inne-
go. Z pustynią nas związało mocno, tak, jak
hamsin związała się nieodłącznie z pustym,
martwym bezkresem piasku. Dopiero teraz
czuliśmy w sobie tę więź, zaczęliśmy rozu-
mieć ludzi pustyni, tych wysokich wzrostem,
o szczupłej ale mocnej budowie ciała, z pogodą
na twarzy, cierpliwych stosownie do klimatu,
pracowitych i poskusznych ludzi, ich dzikość,
ich pierwotność, ich niedowierzanie.

Odchodziliśmy ze stron, z którymi złączy-
ły nas lata wojny.

Wrastała w nas, bez naszej woli, trudna
do opisanego, tęsknota do świata, który zaczę-
ło się rozumieć, a który umyka spod naszych
stóp. Żegnał nas Egipt, gdzie tak długo sły-
chać było mowę polską, gdzie odnawialiśmy
tradycję Sułkowskiego.

Zabieraliśmy z tego Wschodu wspomnie-
nia, przeżycia, powiedzenie jak „Bolonia do-
bra“ — zdawałoby się, — powierzchowne a jed-
nak tak wiele mówiące. Zabieraliśmy drogie
pamiętki Ziemi Świętej, na której zostały zło-
żone nasze modlitwy i pragnienia. Wśród jej
gajów oliwkowych i kamienistych wzgórz po-
został trud i wysiłek wyszkolenia.

poruszył. Nad tym wszystkim unoszą się na-
pomnienia Katona: „Nie chcę żołnierzy, któ-
rzy w marszu pracują zbyt gwałtownie ręko-
ma, a w bitwie nogami, ani takich, co śpiąc
chrapią głośniejsz niż krzyczą, walcząc“.

Na górnym pokładzie kapelan odprawia
nabożeństwo. Zza horyzontu wychylił się
zwolna brzeg Europy. Radość napełniła żoł-
nierskie serca. I z modlitwą, płynącą od oł-
tarza, coraz widoczniej wynurza się brzeg
włoski.

Konwój dobiegał do portu. W dali jaśnia-
ło miasto tęczą dziwnych kolorów. Piękny
lazurowy wiosenny morza włoskiego dziś był
jeszcze brudnawo zielony. Jeszcze na nie-
boskłonnie kłębiły się czarniawe chmury, zapo-
wiedź deszczu. Włochy przyjmowały nas za-
kończeniem zimy, zimnymi sirocco, grubymi
warstwami śniegu na szczytach kalabryjs-
kich gór.

Z zapartym oddechem oczekiwaliśmy
rozkazów wyładowania. Stawialiśmy pierwsze
po tylu latach kroki na kontynencie.

Ziemia włoska. Dalszy ciąg tradycji le-
gionów Dąbrowskiego.

I znowu stopa żołnierza polskiego stanę-
ła na ziemi Cesarów. Znowu piosenka polska
zabrzmiła wśród jej wzgórz i dolin, wśród
jej wiosek i miast. A polska komenda twardo
woła przypomnieniem o sprawie polskiej, o
trwałości polskiego uderzenia.

Bagiet żołnierza polskiego z powrotem
uderzył dźwiękiem swej stali na ziemi Kró-
lowej Bony przeciw germańskiemu najeźdźcy!
Z ziemi włoskiej do Polski.

WITOLD DOMANSKI

LIST Z FRONTU WŁOSKIEGO

I.

Nie łatwo jest dotrzeć do zagrzebanej w śniegach Dywizji Karpackiej. Wóz jednak, który przebrnął przez zasypy i załamki, stoi na dziedzińcu przed kasynem. Pasażerowie przypupują, a kierowca prawdziwie po polsku „zabija” ręce dla rozgrzewki. Jest to wysoki mężczyzna z wąsami, ma wygląd sandomierskiego chłopca. Pochodzi z Kanady.

Mamy więc gości — siedmiu korespondentów zagranicznych. Zanim dokonamy aktu prezentacji, czytelnicy pozwolą, że zedrzemy welon tajemnicy, ostantając cel tych odwiedzin. Symboliczny guzik, po naciśnięciu którego spada na nas ta lawina następstw,

czonym ten termin wystarczy. Oznacza on, że wolno nam będzie z powrotem nałożyć orzełki i przyszyć emblemat świerka na rękawy. Od tej depezy — mówię stylem mojego przyjaciela spod Żywca — „okazaliśmy się być we Włoszech”.

Gdy to czytacie, dawno już radio brytyjskie, kanadyjskie, amerykańskie, oraz prasa codzienna i tygodniowa sprzedają w milionach egzemplarzy nasz pobyt u stóp Abruzzów. Powiedźmy jednak czasowi, który niecierpliwie wyskakuje naprzód, władze wojskowe „wróć” i wejdźmy za skonanymi dokucziwą drogą gości do kasyna. Czuciecie to przynajmniej ciepło, jakie rozchodzi się od kominka? Patrzcie, jak John Redfern z „Daily Ex-

stoner” wiosenne sący się jak przez witraż, po arkadach i podsiennach, zbudowanych przez lud włoski — tego matchlionejo prostaka i genialnego artystę.

Miasteczko znika nam z oczu i nowe obrazy kładą kres rozważaniom o ginącym pięknie Włoch. Tor kolejowy, biegnący równoległe do drogi, zniszczony jest totalnie. Rozwalano go z zimnym wyrachowaniem. Ale jedna mała stacyjka ustrzeżła się zagłady. Stoi cała jak pieniąż. Zachował się nawet rozkład jazdy na ścianie poczekalni i okienko kasy biletowej. Chciałoby się stanąć przy nim i czekać na nadejście kasjera.

Tylko dokąd pojechać? Przed budynkiem na miejscu torów kolejowych pozostał pusty plac. O, długo czekaliłbyśmy na pociąg na tej stacji...

Im bliżej frontu, tym ziemia bardziej potężna jest przez wojnę. Zie może potargany domy, pozdumachiwały jakieś rodzinny, jakieś plasy żywotowe. Za obalonymi parkami, gdzie kobiece ręce pielegnowały gładki kwiatów, gniją w kałużach zardzewiałe puszki po corned beefie...

W pewnym miejscu każą nam opuścić samochody. Teren znajduje się pod obserwacją nieprzyjaciela. Uczenie niebezpieczeństwa nie przenika jednak do świadomości. Gdzieś o siedem kilometrów, po drugiej stronie doliny są niemieckie posterunki obserwacyjne. Nikt nie potrafi ich jednak dostrzec. Przechodzimy odcinek drogi w pojedynczych grupach i — jesteśmy w rejonie stanowisk. Po drodze widać żołnierzy. Na cie śniegu są prawie że niedostrzegalni.

Życie na stanowiskach płynie na pozór pokojowo. Ktoś wychodzi na patrol, ktoś wraca. Tadek Sowicki zakwaterował się w starożytnej ruinerze, szczeka zębami z zimna i zapewne tęskni do Sharbashahk. W kominku trzaskają wesoło podkady kolejowe: Tadek spalił już w ten sposób półtora mili toru.

Sam fakt mieszkania w domu wydaje się nam czymś niezwykle. Po tylu latach pustyni, płóciennego dachu i wózków wróci nagłe pokój z firankami w oknach, komoda i obrusem na stole.

Dziwnie i zabawne. Po to przyjechalismy na wojnę, aby mieć znowu numer domu.

III

Z jednego stanowiska przerzucamy się na inne. Jesteśmy w miasteczku, jakie widywało się jedynie na obrazkach dla dzieci. Uciepione jest do skały i spada urwiskami we wszystkich kierunkach. Nigdy nie przypuszczając, że coś podobnego może istnieć naprawdę.

Dla odwiedzających ważny jest fakt, że miasteczko wyparło się samochodów. Żaden Jlip nie potrafi się wspiąć na ten apeniński Monsalvat. Kosztuje to około godziny rzetelnej wspinaczki. Nie żałuje się jej jednak po obejrzeniu tego małego klejnotu architektury. W miasteczku wiąże jeszcze rozgrywa się pierwszy akt Rigoletta. Czasami otworzy się okno w ciasnej uliczce i podnosisz głowę, by ułowić aksamitne spojrzenie i uśmiech dziewczęcy. W oknie ukazują się jednak wąsata twarz w helmie stalowym. Na balkonach, stworzonych do arii z gitar, wiszą niemieckie helmy i inne trofea z wypraw w no man's land.

Na pustym placu przed barokowym kościołem radio wykułkuje komunikat polski z Londynu. W opuszczonej tawernie włoscy commandosi piją wino z żołnierzami Dywizji Karpackiej. Patrol odchodzi w ziemię nieczyją. O bogowie, gdzież jest publiczność dla tego spektaklu, który pisze się sam i gra się sam na tej nieporównanej scenie?

Uroczą siostrą Czerwonego Krzyża, najpiękniejszą siostrą, jaką widziałem w życiu, rządzi obecnie wszystkimi wąsatymi i niewąsatymi żołnierzami w miasteczku. Obwołaliśmy ją królową no man's landu.

Orty krąży nad tym urwiskiem. Czasem latające fortece. Czasem nasz patrol spotka się w no man's landzie z niemieckim. Wtedy głucho dudnią salwy. Czasem świeci słońce, niekiedy tylko pruszy. Czas płynie, ludzie przychodzą, tylko góry urwiste, srebrne Apeniny trwają niezmiennie, urągając wojnie i kruchości ludzkich spraw.

IV

Ostatnia wyprawa zaprowadziła nas na szczyt wyniosłej góry, gdzie w skałę i lodzie biwakuje samotny polski oddział. Wspinaczka trwała około godziny. Paul Morton oświadczył z miejsca, że namawianie dziennikarza na takie konisie spaceru jest idiotyzmem, a poza tym daliśmy mu na komisji kategorię „D”. Poczynam wspiąć się jak koka na szczyt, wyprzedzając nas co najmniej o dziesięć minut.

Rycerskość gospodarza nakazała mi pozostać w ognie maruderów. Na szczycie odnajduję Mortona i Congera, „wstępujących” się w napotkanych żołnierzach. Wywiady prasowe echują brutalnością. Conger dobiera się do delikatnego jak chirurg. Nie dba, czy jego pytanie boli lub drażni — kieruje ostrze w najczulszy punkt.

POLACY W WŁOSZECH

— Skąd pan się tu wziął?
— Z Rosji.
— Co pan tam robił?
— Pracowałem na Kofymie.
— Ile pan ma lat?
— 47.
— Czy był pan przedtem na jakiejś wojnie?

— Chyba! Gdybym nie bił się w dwudziestym roku, nie polowałbym w czterdziestym na białe niedźwiedzie.

Chwila milczenia, a potem inna rozmowa.
— Gdzie pan był poprzednio?
— Na całym świecie. W Charbinie, Egipcie, Syrii, Palestynie. Biełem się z Brygadą w Tobruku i pod Gazalą! Smażyłem się na piaskach irackich. Teraz marzę we włoskich śniegach.

Trudno rozejrzeć się dobrze wokół, bo wiatr miecie w oczy śniegiem. Życie nie musi być jednakże pod tymi cienkimi namiotami. Najmłodszy żołnierz na tym posterunku ma 19 lat. Gdy wybuchła wojna, był dzieckiem.

— Well, Niech mi pan da swój adres pocztowy. Napiszę o panu w gazecie. U nas w Kanadzie jest dużo miłych dziewcząt, które przysłały panu listy i fotografie.

V

— Czego nam w Kanadzie brak, to tych kilku stuleci tradycji, — powiedział Morton, kiedyśmy wracali: — Macie wdzięk starego narodu.

— Tak, ale za to płaci się wielką cenę.
— O, nie chęć, żeby ją płaciła Kanada. Wasz świat jest niebezpieczny. Właściwie powinniśmy ogrodzić się od Europy, jak to zrobiła Japonia w XVII wieku. Europa — to piękny, niepraktyczny przedmiot, skazany na zagładę. Jeśli chcecie się uratować, musicie ją opuszczać.

— Nie opuszcza się bliskich w nieszczęściu.
— Wierzę w kulturę amerykańską. Ta ma sens. Moja żona jest prostą dziewczyną, wolną od wszystkich problemów. Córka rybaka. Daughter of a fisherman.

— Pescatore — wróciłem. — Po włosku to brzmi o wiele pięknie.

VI

Kłopotliwe są chwile pożegnania. Jilpy stoją, obiadowane betami, a my silimy się, aby powiedzieć coś uprzejmego naszym odjeżdżającym gościom. Morton, jak każdy neurastenic, zawsze pierwszy wyczuwa moment, kiedy towarzysztwo zaczyna się nudzić. Oczywiście nadrabia elokwencją.

— Patrz, Benoit, dziura od kuli.
Chodzi o dziurę w płaszczu, wypaloną papierosem. Benoit się krzywi.

— Kula nie musiała być mocna, skoro nie przeszła dalej.

Wreszcie ostatnie uściski dłoni i odjazd. Notasy, pękate od notatek, zostają dziś jeszcze rozłożone. Żołnierz Dywizji Karpackiej uruchomił na kilka godzin dalekopisy transoceaniczne, linotypy w Toronto, Nowym Yorku i Londynie oraz aparaty kilku rozgłośni. Oto wartość naszego wysiłku zbrojnego w momencie propagandy.

Koniec opowiadania. Do widzenia, koleczy — handlarze drukowanego słowa. Do widzenia, Paul Morton — przybysz z kanadyjskiej puszczy. Podejrzewam, że dotknął jej jednak bakcyli europejskiej kultury. Wypierasz się jej jak sztabackiej miłości. Ukrywasz ją przed sobą. Bądź zdrow. Mam nadzieję, że nasze drogi skrzyżują się jeszcze w tym życiu.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH
NA SEZON LETNI
poleca w wielkim wyborze
mundury drechowanego słowa. Do widzenia,
koszule gotowe i na zamówienie. **Wielkie trykoty, oraz wszelkie artykuły**
i galanterie wojskowe a także również haftowane dystynkcje.
GUR-ARIEH
(Właśc. A. Gurman)
TEL - AVIV, ul. ALLENBY 83

TADEUSZ SOWICKI

dego nie tylko turystę, lecz i malarza. Dzieje się to w pierwszej chwili, gdy nie jesteśmy w stanie ogarnąć jednej całości, powłaząc jej kompozycyjnie i gdy narastają inne, szybko zjawiające się przedmioty, jak: budynki, ludzie, konfiguracja terenu i najwłaściwiejsze: kolor.

Kolor — pierwszy problem po kompozycji dla malarza, odgrywa dominującą rolę w pejzażu Włoch.

Trzeba jednak uprzytomnić sobie, w jakich czasach żyjemy.

Jest wojna. Ruiny, tworzone przez bombę, zaniechanie, zburzenie murów żelazem, są to procesy odmienne od tych, które dają czas, pozwalającą zabytkom wielkim i małym starzeć się pogodnie i powoli. Na pątych wieków w pięknej kolumnie czekać trzeba wiele lat, podczas gdy bomba i pocisk artyleryjski załatwiają to od ręki i brutalnie. Zadziwiające jest podobieństwo między świętymi gruzami (których we Włoszech nie brak) a np. zniekształconym zewolkiem zwierzęcia, zabitego siłą wojny. Rany zadane mają równy w obu wypadkach patos i tragizm, przerażają oko świeżością. W takich wypadkach zwolony renesansowy kościół przypomina prosekatorium lub rzeźnię i, odwrotnie, rozrwany kadłub zwierzęcia wchodzi w zakres zniszczenia formy żywej, doskonale zorganizowanej i rzeczowej. Miara jest jedna.

Zbrodnia usankcjonowałaś walka, potrzebą istotnie ważną, boć przecie walka toczy się właśnie o kulturę, o całość jej i prawo do tworzenia piękna. Rezygnacja z zachowania całości, lub nawet fragmentu zabytku sztuki jest w tym wypadku rzeczą szuszną i ciężką, lecz potrzebną ofiarą.

Patrząc na ziemię włoską, trzeba zrobić pewien wysiłek, by dostrzec rzeczy nieprzemijające, te które opierają się zwycięskości niszczycielskiej ręce obu walczących stron.

Obraz Włoch. Są piękne. Są nudne. Są częściowo zwalone.

Po ulicach snują się obdarci, chude bambini, nieczym nie przypominające dzieci, od których roją się freski starych mistrzów.

Brak dostatecznego wyżywienia wycisła na twarzach znajome piętno, powszechnie dziś spotykane w krajach pobitych lub objętych ramieniem wojny.

W tym otoczeniu im lepiej i ściślej poczyniemy kontemplować zniszczenia, tym łatwiej pociągamy w niezapamiętany świat zachowane dowody siły i przeszłości Włoch.

Spotkać się wtedy można z swoistym rodzajem patrzenia i odczuwania, z porównaniem epok tak odległych, jak rok 1504 (data powstania „Świętej Rodziny” Michała Anioła) i rok 1944.

Otóż jeden z bardzo „wolnych strzelców” tu, który z równą obojętnością przyjmuję dziś posiolek kozacki, meczet Omara, autobus w Tel-Awivie, bazar w Damaszku, wąpkię w wartości lepsze od twardej pieści, — zdumiony, że szukam w tym zakamuflowanym wojną pejzażu czegoś, czegoś absolutnie dojrzyć nie może, powiedział szczerze:

Nie rozumiem ludzi, pięjących hymny o dziełach sztuki włoskiej. Czy nie widział, że Venus medycejska oglądana właśnie na fotografii ma nogi dziewczyny Taranto?

A posag Comandora jest tak przekleście statyczny, że aż martwy i nie ruszy się przez najbliższe dziesięć milionów lat? Albo: jakieś daleki opatł artystów, patrzących na miasteczko (przeklejone do ogromnej i stronnej skały, jak jaskółcze gniazdo) i mówiących, że jest piękne, skoro wygląda jak Delatyn w czasie wiosennych roztopów?

Wielu oczom Włochy pozostają w ten sposób ziemią nieznaną, obiektem wojskowym, teatrem wojny, chwytliwym klasztor na wzgórzu przedstawia się jako dogodny punkt do obserwacji przedpola.

Przykład „wolnego strzelca” może posłużyć za dowód, jak bardzo przestaliśmy umieć patrzeć na piękno i jak łatwo zapomnieć, że poza wojną i jej celami istnieją wartości, nie podlegające przewartościowaniu i zmianom.

Cudzoziemca, wstępującego na ląd włoski, obciążonego bagażem wspomnień i spostrzeżeń z reprodukcji i nielicznych oryginałów w starych galeriach, uderza zadziwiająca wierność i niezmienną plastyczną wyrazność zestawienia barw i form. Dzieje się to przed naszymi oczyma w ten sam sposób, jak działo się przed wzrokiem artysty w czasach poprzedzających i późniejszych, których środek wyznacza budynek renesansu.

Pozwólmij nam się spostrzeżeniem w polu widzenia swobodnie, wychodząc z pewnej zasadniczej i, mam wrażenie, że szuszej zasady: malować, to znaczy widzieć lepiej, czulej i szczerzej niż pozwalał sobie oka.

Miasteczko F. Nazwa brzmi w uchu jak pojedyncza struna skrzypiec, świadomie trącona, znać, że wyjęta jest z czystej, harmonicznej melodii. Wejście do miasteczka tworzy brama, przebiega w budynku kamiennym, stołeczym z granadzie nad urwiskiem, u którego stopy szumi mieniąca się opalen wodą. Sklepienie tworzy żuk kamienny, przetykany w swoich spoidach zielono-siwym mchem. Łuk, wzmocony żelazną sztabą, kutą w kształt czworobocznego pręta, światło niezwykle rozmięsza się w tej przestrzeni. W dolnych częściach jest jako przepływająca smuga światła, którą można dowolnie zabarwiać za-

— Daję: pinje. Poezja harmonijnych pinji i smukłych cyprysów wzywała w pierwszej chwili słowa: — jakieś to banalne i pretensjonalne. Geometrie, linearne ustawienie, matematyczne zmniejszanie się coraz dalszych od oka tworzy monotonię i powtarzalność, wrogą każdej kompozycji.

Są to dwa obiekty, które zawiodą każ-

leżnie od pory dnia, różem świtu lub fioletem wieczoru. W górze przestrzeni gęstnieje mrokiem, bratem niełopoty, przyjacielem pajgów. Wyjecha strzegą dwa gazy, przydające podstawie siły, której nie może zwalczyć czas, ani koka przejeżdżających teraz często samochodów.

W głębi rosną domy. Jest to niezwykle, być może nawet nieswiadome zbiegowisko kamieni, dyktowane jednym powodem: wznosić się choćby o cal wyżej nad poprzednika. Ustawienie domów wchodzi w zakres grafiki. Ściany wystają nad sobą, dachy łączą eleanty pionowe lekko ukośnymi płaszczyznami, pokrytymi dachówką, jakiej nie znajduje nigdzie na Wschodzie, ani w centralnej

tarzami, dają w rezultacie całość wdzięczną i delikatną jak miniatura.

Wojna wkroczyła do niektórych kościołów. W jednym z nich znajduje na chmurze polamane pisaćskie organy, porzucone mszale, wydane bogato, zdobione wzorem starych ksiąg inicjałów. Przez dziurę w dachu pada śnieg i płatki jego przelatują wśród rozdartych twarzy świętych, pomiędzy skrzydłami białych aniołów.

Nad kościołem rosną inne domy. Wnętrza są naprawdę ubogie, lecz pełne uroku kominki są magnesem, przyciągającym wchodzącego.

Kominki tutejsze zajmują wiele miejsca w mieszkaniu. Wnętrza kamienne, pokryte



Rys. Tadeusz Sowicki

Miasteczko w Apeninach

Europe. Są to nakładane na siebie, wygięte w żuk prostokątne płaszczyzny, wypalane z gliny o barwie, zdolnej przyprawić o żółta zadręśność wszystkich post- i impresjonistów. Na bogatej paletce malarza znajdziemy tak fenomenalne i różnorodne zestawienia brązów, zieleni, fioletołów, nawet mocno zawaloryzowane ultramaryny. Kolorystycznie dach odgrywa pierwszą rolę. Dach tworzy dla patrzącego z góry plamę, położoną jakby z rozmysłem na zielono i ciepło-brązowe tło podłoża!

Nie zdarzyło mi się widzieć wśród tych dachów ani jednego dysonansu. Nie ma czerwonej, jak kopioły otówek dachówek, ani migotliwej jak lusterko blachy.

Domy wiążą się wzajemnie schodkami, krótkimi łukami, chodnikami, biegnącymi, zdawoby się, niewygodnie i nierozważnie dla idącego, to jednak dające w rezultacie idealną i ciekawą form nawet wzajemnie sobie przeciwnych.

Domów tych nie budowali architekci, — budowali je kamieniarze i cieśle, którym tradycja i przeszłość pozostawiły w spadku talent budowania, mającego na oku nie tylko wygodę mieszkańców, lecz i chęć przedziwności piękna, odpornego na modernizm faszyzmu.

Trzeba być niezwykle aroganckim, by wmontować w krajobraz, nie znajdujący kubizmu, blok nowoczesnego budynku, przysłówiowego kwiatka do koca.

Faszyzm, który we wszystkie dziedziny życia włoskiego wniósł pompacyjne i nachalne akcenty propagandy, nie zdołał zaważać architektury górskiej miasteczek. Jedynie beliski o przyręcznych podstawach, zdobnych wyrobionym liktorskiej różgą, toporem na zbyt grubym kiju. Powtarzanie tego znaku po kilkunastu kilometrach zaczyna być męczące i drażniące. Świadczy to, że panowanie nakazu i doktryny w sztuce jest przestępstwem. Twórca liktorskiej różgi zapomina, że architektura jest też sztuką i może się rozwijać na wolności, a w ramach totalizmu w służbie polityki degeneruje się i pacy.

Dyscyplina potrzebna jest tylko w pracy ręk tworzącej. Ducha i myśli artysty nie można krepować żadnym kodeksem.

Czy za wysoko było faszyzmowi, czy niewygodnie, bo w lok od drogi, dość, że miasteczka oparły się przemalowaniu na reginie i pozostały piękne, jak dawniej.

Włochy są krajem wielu kościołów. Każde, liczące choćby 200 domów osiedle, ma ich pięć lub sześć. Tu duch Włoch manifestuje się najlepiej. Nie znajdziemy monumentalnego gotyku, imponującego baroku — kościoły, jak domy, są w skali miasteczka. Fasady kościołów skromne, filigranowe, wdzięczne, przeważnie bliskie wczesnemu renesansowi i zawsze z kamienia. Wnętrza są zbiorem czysto zestrojonych fragmentów sztuki kościelnej.

Nie rzadko znajdziemy strop, zdobiony freskiem, który nie wyszedł spod pędzla mistrza, lecz był malowany przez kogoś, kto chciał oddać na chwałę Boga i wiernych pogodnie surowe spojrzenie. Był to rembrandowski burmistrz Six, ledwie rozróżniony światłem minionych wieków, utopiony w cieniu brązów i głębokich walorów.

Tu światło daje refleks ognia na koniku, biegnący z otwartych drzwi — głęboki walor daje noc.

Historia sztuki powtarza się.

HENRYK PANAS

UCIECZKA

Leżał na łóżku w celi nr 3 więzienia na Zasadaniu w Przemysłu, i myślałmi błędził w przeszłości, jak topielec, dający ostatniego nurka. Dno miał osiągnąć nazajutrz o godzinie 6-tej rano. Wyrokiem sądu polowego, jako dezertier z armii niemieckiej, on, Wiktor Sędzieluch, skazany został na karę śmierci. Właściwie nie czuł żadnego lęku, żadnej trwogi, nie udało mu się poprostu i już. Kiedy w Królewcu przydzielono go do spadochroniarzy i miał wziąć udział w naloce na Anglię, powiedział sobie krótko: „Nein”. Postanowił zwiad do Sowietów, zawsze to Słowianie, na pewno tam będzie lepiej. Nie namyślał się wiele. Trzydniowy urlop, powrót do domu, cywilne ubranie i potem wsiadłszy do pociągu, zjechał do Przemysła. Dotąd wszystko szło dobrze, pierwszą drogą skierował się na Wschód. Los mu nie sprzyjał, natrafił na dwu policjantów ukraińskich, którzy go zatrzymali:

- Kuda idesz?
- Do domu.
- A de twój dim?

— Tamok — rzekł, wskazując palcem na grupę domostw, i to nieszczerne „tamok” zgubiło go. Skąd mógł wiedzieć, że „tamok” mówią tylko u niego, na Ślązku. Trudno, miał pecha, zresztą pech przesładował go przez całe życie i nauczył rezygnacji. Nie żał mu było umierać i, jeśli gnębiły go ciężkie myśli, to nie myśli o śmierci, ale wspomnienia. Jęczał i pomrukując, grzebał w pamięci, wyławiając te wszystkie obrazy, które składały się na jego życie, i nie zwracał uwagi na towarzyszy niedoli. Byli to sami złodzieje i bywalcy więziennych, którzy do jutrzejszego nieboszczyka odnosił się z całą złodziejsko-bandycą wyrozumiałością i nie przeszkadzali mu w jego rozmyśleniach, co jak stary zniszczony film, urwanymi obrazami, przewijały mu jego przeszłość.

Najpierw ukazał mu się ojczym, pierwsze tragiczne wspomnienie dzieciństwa, lejtnant niemiecki, przynoszący matce wiadomość o śmierci ojca. Jego matka była wysoka, szczupłą blondynką o cichej twarzy i łagodnych ustach, które wtedy tak często całowały jego jasną czuprynę. Potem, gdy wyszła za ojczyźma, zmieniła się, przestała go kochać, miała dwoje dzieci z tamtym. Ojczym bił go i przesładował, nazywał polską świnią, a matka nie śmiała nic mówić. Uciekł z domu, dwa tygodnie past gęsi na wsi, zanim go odnaleziono. Zaczął chodzić do szkoły i był bardzo nieszczerliwy, bo nie miał domu, jak inni jego rówieśnicy. Pewien stary nauczyciel chciał go wziąć na wychowanie, lecz on go nie lubił, gdyż śmierdzał tytoniem i wódką, miał czerwony nos z brodawkami. Nie chciał, żeby go wychowywał.

Do piekła w domu dołączyło się piekło w szkole. Mimo że uczył się dobrze, był stale przesładowany i nie odczekał, aż dopiero gdy poszedł do kopalni. Tam nauczyli go majsterki, obsługi motorów, lecz praca ta nie pociągała go wcale. Dwa tygodnie, które spędził na wsi, były najszczęśliwszym okresem jego żywota dziecięcego i zostawił w umyśle niezatarte ślady. Pola, wesołe słońcem, smutne mgłą i deszczem, las uroczysty mrokiem zieleni, patriarchalny stosunek gospodarzy do służby wytworzyły w nim takie pożądanie wiejskiego spokoju i szczęśliwości, że pewnego dnia rzucił wszystko i wyemigrował ze Śląska Polskiego do Prus Wschodnich jako robotnik rolny. Ojczym, matka, rodzeństwo na czas jakiś zniknęli mu z myśli i z oczu.

Przeskoczył kilka lat, znalazł się wśród jezior i lasów Pomorza. Już mu się zdało, że smutna przeszłość przepadła raz na zawsze. Pracował u zamożnego „bauera” nazwiskiem Hans Schankweiler. Gospodarz był grubym dobrodusznym chłopem, który systematycznie przepijał dochody ze studwudziestohektarowego gospodarstwa i prawie że nie wychodził z knajpy. Cały ciężar utrzymania spoczywał na barkach żony, Herthy, i córki, Lizelotty. Gospodyni miała trzydzieści sześć lat i była wcale przystojną kobietą, jak wszystkie Niemki z Szwarzewaldu, a szesnastoletnia córka wdała się całkiem w matkę i kruczą gęstwą włosów, i szczupłą zwinną budową ciała, i wesołością usposobienia. Miała zgrabne nogi i czerwone usta, a przy tym lubiła się stroić. Wiktor nie miał czasu przyglądać się kobietom, był najmniejszym, myślał tylko o pracy, zwłaszcza że całe piękne gospodarstwo chyliło się do upadku. Bydło niedbale utrzymane, pola leżały odłogiem, mimo że nowy traktor rdzewiał w szopie, służba leniwa nie sobie nie robiła z kobiet i zbijała baki. Gdy młody Polak wziął się do roboty, kiwali tylko głowami i uśmiechali się na uboczu. Nie próbował mu nawet przeszkadzać, stosowali tylko bierny opór wobec wszelkich jego usiłowań. Z początku z zapamiętałością nowicjusza rwał się do wszystkiego, tym więcej, że obie kobiety polubiły go i z miejsca odbarzyły wielkim zaufaniem. Nareszcie zdobył sobie dom, nareszcie nikt na niego nie krzychał, a przeciwnie, okazywano mu więcej ciepła, niż należało. Z wdzięczności harował jak wół, pragnąc sobie na to zasłużyć. Rok upłynął, zanim przekonał się, że cały wysiłek idzie na marne. Wprawdzie został prawą ręką gospodarza, który teraz już całkiem nic nie robił, ale gospodarstwo marniało dalej. Potężny brzech Schankweilera pochłaniał więcej, aniżeli jego sto dwadzieścia hektarów

mogło urodzić. Wiktor widział to i myślał całymi dniami, jak złą zaradzić. Jednego razu rzekł do swego „bauera”.

— Słuchajcie no, wezmę „träcker” i pojedę do lasu, wozic drzewo.

— Ha? — rzekł tamten, wstrzymując szklankę piwa, którą do ust podnosił, przy tym czknał głośno, co było oznaką, że myśli. A potem postawił szklankę i otworzył szeroko usta.

— Można — powiedział, przymykając oczy, lecz piwo ciągnęło go bardziej, aniżeli myśl powiększenia dochodów i na tym się ich rozmowa skończyła.

Następnego dnia Wiktor pojechał traktorem do lasu. Inne „bauery” patrzyli nań jak na szaleńca. Jak Prusy Prusami, zawsze drzewo wozili z lasu furmanki, zarabiając nieźle, bo pięć do sześciu marek dziennie. Wiktor pierwszego dnia zarobił czterdzieści marek, lecz nikt o tym nie wiedział. Dopiero z czasem wyszło, jaki majątek robi się „träckerem”. Zrab jednak był duży i wszyscy mieli zajęcie, więc nikt się nie krzywił, że młody Polak zbija pieniądze dla starego Schankweilera. Gospodarz zaś dziwił się tylko niezmiernie, że może pić dwa razy więcej, a gospodarstwo zaczyna się podnosić. Mimo olbrzymiego brucha był na tyle roztropny, iż uczynił Wiktora zarządcą gospodarstwa i pozwolił mu rozpedzić starą służbę na cztery wiatry. Po roku Schankweiler ważył 138 kilo i zaczynały mu puchnąć nogi, folwarczek zaś był oczyszczony z długów i świecił wzorowym porządkiem. Wiktor sprawił sobie dwa piękne garnitury w Królewcu i jeździł konno, doglądając robot polnych, traktor obsługiwał młody, młodszy jeszcze od niego Ślązak, brat jego kolegi, sprowadzony przezeń z Królewskiej Huty. Piękne to był czas, kiedy graf von Osterrode na placu przed tłumem tannenberskim za parę cugowych koni dawał mu z miejsca 800 marek, a Schankweiler, który tego dnia był wyjątkowo trzeźwy, rzekł:

— No, Wiktor, jak myślisz?

A Wiktor powiedział, że nie, raz dlatego, bo nie lubi młodego von Osterrode, ex-rotmistrza huzarów, po drugie, że kochał tę parę, jak tylko chłop polski konie kochać potrafi. Schankweiler skrzywił się i koni nie sprzedał, a zrobił dobrze, gdyż na jesiennej wystawie dostał 500 marek premii i złoty medal. Dzień ten był najcudowniejszą kartą w życiu Wiktora. Obaj z bauerem podpiłi nieco przy tej okazji i wracali późnym wieczorem do domu. Gospodarz, jak zwykle, wstąpił do knajpy, Wiktor mimo późnej pory wstąpił do kantoru, aby zrobić rachunki. Zapalił lampę, ale był tak zmęczony, że usiadł na kanapie, na której nie spał, wykańczając książkę po nocach. W głowie szumiało mu od nadmiaru wypitego alkoholu i choć nie był śpiący, nie mógł wziąć się jakoś do żadnej roboty. Po raz pierwszy ogarnęło go lenistwo, powodzenie uderzyło mu do głowy. I gdy tak myślał, czy nie wrócić do gospody, nagle drzwi skrzypnęły. Podniósł głowę. Przed nim w półmroku stała Lizelotta. Wyglądała ślicznie w jedwabnym szlafroku, narzuconym na nocną koszulę. Włosy miała rozpuszczone, opadające ciemnymi skrętami na ramiona. Niespodzianie na wpół przytomnie stwierdził, że jest przesłizniona, ale poznanie to i wódka obezwładniły go do tego stopnia, że siedział w tej samej pozycji, wspierając brodę na pięściach.

— Nad czym myślisz, — rzekła, podchodząc blisko, — dlaczego nie idziesz spać, Wiki?

Zadrżał, bo zdawało mu się, że patrzy nań jakoś dziwnie. Nigdy nie zadawał się z dziewczętami i nie rozumiał tej gry. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, nie wiedział tym bardziej, że Lizelotta, położywszy mu dłoń na ramionach, rzekła:

— Że wyglądasz od jakiegoś czasu, Wiki. Pracujesz mocniej, aniżeli ojciec pije. Czy ty prócz pracy niczego więcej nie widzisz?

— Widzę ciebie — rzekł poprostu, lecz ona to rozumiała inaczej i dłoń jej drgnęła, a policzki pokryły się pąsem.

— Dopiero dziś mnie ujrzałeś, Wiki, gdy tu przyszedł — rzekła cicho, opuszczając powieki. Wiktor, który wciąż jeszcze nie pojmował, w pierwszej chwili zdziwił się, później zakłopotał, wreszcie, wpadłszy w desperację, rzekł:

— Zdaje mi się, że byłem ślepy do tej pory. Nie spodziewałem się wcale, że... — i nie wiedział, jak dokończyć. Stała blisko niego, jej rozchylone w uśmiechu usta wydały mu się mówić coś, jakimś niedoślyszalnym tchnieniem. To go zmieszało jeszcze bardziej i gdyby nie alkohol, chyba by zostawił ją i uciekł, a tak stał nieruchomy i patrzył, jak ona, wyciągnąwszy ramiona, oplótł ją szyję. Jej czerwone usta znalazły się tak blisko jego, że nie trzeba było żadnego doświadczenia, aby zrozumieć. Nigdy nie zapomniał, gdy pod wpływem ciepła jej piersi ogarnęło go pierwsze w życiu upojenie, graniczące z utratą świadomości.

Kiedy nad ranem opuściła kantor, zdawało mu się, że tą jedną nocą odbił całą swoją młodość niedolę.

A potem koleje losu potoczyły się szybko, odwróciła się kiepska karta. Lizelotta została jego żoną i przez rok żyli szczęśliwie. Na świat przyszła Marta, ich córka, mała śliczna dziewczynka, podobna całkiem do niego. Cze-

goż mógł chcieć więcej od życia, było mu dobrze, całkiem dobrze, zaczął zapominać.

Pewnego dnia nieszczerście spadło nań niespodzianie i los złośliwy jednym mocnym kopnięciem stracił go ze szczytu na samo dno. Wrócił wcześniej niż zwykle z miasteczka i w swojej alkołowie zastał żonę z kochankiem, z młodym Ślązakiem, bratem kolegi, z tym, którego wykierował na ludzi. Był tak zdumiony odkryciem, że stał w progu, bez słowa, patrząc, jak Hans Wytroch przerażony wlepił w niego swe czarne oczy.

— Rrraus! — rzekł twardo, robiąc mu miejsce w drzwiach. Nie patrzył nawet na niego, nie mógł odwrócić spojrzenia od twarzy tej, która była całym jego szczęściem. Powoli podchodził do niej, nie odrywając spojrzenia od jej oczu. Zdawało mu się, że ktoś dzielił go młotem po głowie, gdyż nie mógł myśleć, czuł tylko szum i zamęt straszny, a równocześnie w piersiach zabrakło mu tchu. Jaka szkoda, że jej wtedy nie zabił, nie zadusił na miejscu, ale wtedy nie mógł, nie umiał. Nie umiał nawet złościć się, nie potrafił okazać swego gniewu, podszedł tylko bez słowa, a gdy złożyła błagalnie ręce, ukląkł przy łóżku i patrzył w jej oczy tępym wzrokiem, długo nie nie mówiąc. Zaczęła płakać i prosić go, by jej przebaczył, mówiła przez łzy i przez jego milczenie, nie wiedząc, że przebaczyłby jej i tak, nawet gdyby nie wyrzekła ani słowa. Wtedy nie umiał jeszcze nienawidzić, jak dziś. Słuchał jej słów i myślał, że jego szczęście już się skończyło, długie lata niedoli nauczyły go rezygnacji, a ona wzięła to za jakąś straszną zapamiętałość i męczyła swoimi niepotrzebnymi prośbami, rozdrapując tylko jego rozpacz. W końcu jednak zrozumiała, że nie jej nie grozi, i ły jej obeschy.

Przez jakiś czas było dobrze, lecz los złośliwy próbował jego cierpliwości przez długie trzy lata. Dwa razy jeszcze przychwycił żonę z coraz to innym kochankiem i ani razu nie zapytał, dlaczego. Tylko gdy ostatni raz to się stało, dość miał tych prób, zbuntował się na swój sposób i, nie mogąc jej nie zrobić z tego, postanowił skończyć ze sobą. Był to okres, w którym zrozumiał postępowanie swojego teścia. Stary przeżył to samo, zwierzył mu się kiedyś w przystępnej pijackiej czułości.

— Die beide sind Huren — rzekł lakonicznie. Od tego czasu obaj chodzili zapijając swą niedolę. Tylko że Wiktor miał więcej ambicji i był młodszy, poza tym los go doświadczał z każdej strony, więc gdy trzeci raz przyłapał żonę w polu pod kopą siana, przejechał mimo i, zaciąwszy konia, ruszył do domu. Udał się do stodoły z kawałkiem powroza, i byłby się powiesił, gdyby nie to, że w ostatniej chwili weszła tam teściowa. Ujrawszy jego przygotowania, schwyliła go za rękę.

— Wiki, co robisz? — krzyknęła — zostaw to w tej chwili...

Stał bezradnie jak chłopak, przyłapany na gorącym uczynku, a ona przy nim, mówiąc cicho:

— Wiki, od dawna wiem wszystko i żal mi ciebie, ale choć to moja córka, mówię ci, ona nie warta tego. To dziewczka, ona wdała się w ojca i ma to we krwi. Od czternastu lat nie mogłam jej upilnować, puszczała się z każdym, kto się nadarzył, nie było jednego dnia, żeby cię nie zdradzała. Wiedziałam o tym i żal mi cię było, lecz nie mogłam ci tego powiedzieć, Wiki, bo myślałam, że ją kochasz. A przecież wszyscy ludzie we wsi wiedzą, że takiej sukki nie warto nogą kopnąć, ona się goni przez cały rok. Wiesz, co ludzie jeszcze mówią, że to niemożliwe, aby taka dziewczka mogła urodzić dziecko, że Marta, to twoja córka i moja...

— Co? Dlaczego?

— Bo wszyscy widzą, że cię lubię więcej od niej, a gdy chodziła w ciąży, sznurowała się, aby być zgrabną, więc nie wierzą.

Patrzył na nią bezradnie, nie mogąc pojąć, jak ona, matka, może mówić takie straszne rzeczy na własną córkę. Chyba oszalał i ma jakieś zwidzenia. Przez rozpacz bezsilną, przez nieprzytomne zamroczenie słyszy jej słowa:

— Słuchaj, Wiki, dlaczego nie ma być tak, jak ludzie myślą. Całe gospodarstwo jest zapisane na mnie. Wypędźmy ich oboje, zostaniemy sami i dziecko. Będzie ci dobrze ze mną, jak w domu u matki nie było...

Słyszy przez mgłę jej kuszące słowa i widzi nie brzydka jeszcze twarz, nachylającą się ku niemu. Naraz zdejmuje go takie porażenie, taki wstręt, że jak szalenie odtrąca od siebie tę kobietę i ucieka...

Odtąd nie widział tamtych również i nie widział więcej malutkiej Marty, którą kochał i którą mógł zapomnieć.

Przyszła wina.

Jest w wojsku polskim, plutonowym, piątego dnia ranny dostaje się do szpitala i tu zastają go Niemcy. Jako „Volksdeutscha” wcielają do armii, gdzie wkrótce zostaje sierżantem. Chcą go wysłać do Anglii, lecz on już nie jest tym dawnym Wiki, znoszącym biernie, co los żyły przynosił. Umie nienawidzić i nienawidzi Niemców za swoją ranę i za to, że chcieli go wysłać na zagładę, ale przede wszystkim za to, że ich dziewczka zniszczyła mu życie. Myśli o zemście, pragnie zwycięstwa Anglii, aby po wojnie mógł wrócić i wytepić tamtych w Tannenbergu, a z Marty zrobić Polkę, nienawidzącą Niemców, jak on.

I myśli ciężkie nieustępliwymi falami przewalają się przez mózg. Leży na pryczy i

wzdycha ciężko. Nie patrzy, oczy ma zamknięte przez całe pół dnia, a jego towarzysze są z tego mocno zadowoleni. Ci zawodowi złodzieje mimo sympatii do skazańca nie ufają zbyt- nio obcym. Gdyby Wiktor mniej myślał o przeszłości, a więcej o jutrzejszej egzekucji, z pewnością dojrzałby rzeczy, któreby go bardzo zainteresowały. Od wczesnego rana jego współwięźniowie czynili pewne przygotowania. Na oknie zawieszona na kratkach schła świeżo uprząta koszula Władka Tybisza, znanego w świecie przestępczym pod pseudonimem „małpa”. Rzeczywiście pod wieloma względami przypominał on małpę, miał małe świdrujące oczy, krótki perkaty nos i wystającą szczękę. Niskie czoło przechodziło w czaszkę, skąpo pokrytą włosami, których brak nadrobiła powłoka cielesna, obrośnięta rudawą szczecinę. Gdy siedział rozebrany niemal do naga, rozprawiając krzykliwie nieprzyjemnym głosem, wyglądał jak złośliwy szympan, zamknięty w klatce. Koledzy nie lubili go, bo był kłótlawy niczym stara baba i zarozumiały, ale dziś wszyscy żyli w zgodzie, nawet Stefan Sygański, stary złodziej, który szmat czasu przeżyłszy w różnych kryminatach, nie utracił wiary, modlił się, wciąż lepił z chleba krzyżyki i robił oszczędności ze skromnych przywilejnych racji. Codziennie ze starym „Karawanem” kontrolowali swoje zapasy i zazdrośnie spozierali na mieszki. Dziś wszyscy prowadzili ostrożnie rozmowy i na zmianę czuwali przy drzwiach, a „Rudek” kasiarz, wielkie, trochę zacinające się w wymowie chłopisko, przy pomocy igły robił z noża piłkę, szczerbiąc go raz koło razu, starannie i wolno uderzając o twardą stal igły. Robota postępowała szybko, a przepiślowanie krat nie nastęrczyło większych trudności. Koszula zakrywała ich pracę od ulicy, na którą wychodziło okno. Cela mieściła się na parterze, a straż więzienna nie była zbyt liczna, ani pilna. Los był dla nich łaskawy i część tej łaski musiała spłynąć na Wiktora.

— Ty, Ślązak, wstawaj, — rzekł herszt całej paczki Karol Mackiewicz, zwany „macą”.

— Wieszysz z nami, czy nie?

Wiktor ostrząsnął się z rozmyślań i wlepił w niego swe niebieskie oczy. Nie rozumiał.

— Co kcesz?

— Zaraz brykami. Tyś myślał o jutrzejszej kuli, a my o woli. Szpanuj — spojrzaj na kraty, ledwo trzymające się kupy — tego nima, robi się ciemno, my przez okno siup, a potem w prawo w pole, w zboże. Zaraz niedaleko krzaki i San. Kapujesz?

— Kapuje.

— No to, jak chcesz, wybieraj. Chcesz, zostań, ale siedź cicho, ani pary z pyska, udawaj, że śpisz, jakesz wariat, a ni, to chodź.

— Idę z wami.

Wszystko, co stało się później, wydało mu się być snem. Wyskakiwali przez okno, jak z pionącego domu. Zanim strażnik na bramie ochłonął z osłupienia i wypalił, uciekli wszyscy i pomknęli w prawo, jak gromada szpaków, wykonawszy się z sideł. Długonogi Wiktor trzymał się Macy krok w krok i biegł drugi z kolei, przesadzając płoty, przedzierając się przez krzewy przedmieszkich ogródków. Goniły ich strzały, pociski z gwizdem przelatwały mimo uszu. Z oddali dobiegł go głośny ryk, połączony z kłatwami, krzyki i jęki, pomieszane ze strzałami karabinów. Obaj z Macą, wysforowawszy się w przód przez opłotki, wypadli w pole i bez tchu przycupnęli w zbożu. Pobyt w celi odebrał im siły, byli zżalając, jak dwa zaszczerzone zajace, lecz Maca, stary rutyniarz, ledwie odpapnął, natychmiast dał sygnał do dalszej ucieczki. Przez wysokie łany przelicy dotarli do kartofli. Wciąż jeszcze ścigają ich strzały, okrzyki i odgłosy pościgu, póki nie znaleźli się w zbawczych zaroślach. Tu są bezpieczni, robi się całkiem ciemno, księżyc jeszcze nie wzeszedł, rzeka szumi w oddali spokojnie i przysłusza głośnie uderzenia serc, chrapliwe oddechy gardel zaschniętych, nabrzmiałych krwcią. Siedli w gąszczu i odpoczywali tak długo, aż cieni rąbek począł nieznacznie rozwidniać mrok nocny. Ostrożni, gotowi w każdej chwili do nowego zrywu, poszli wzdłuż rzeki, oddalając się od miasta. Uszli tak parę kilometrów, aż Maca uznał, że miejsce jest dobre do przeprawy. Zawarowali za kępą krzaków. Wnet dały się słyszeć kroki i długi pokraczny cieni strażnika z bronią na ramieniu przesygnął się po gałęziach. Kroki ucichły.

Bezszelestnie poczołgali się w stronę wody, jeszcze chwila obserwacji i weszli wolno w fale Sanu, uważając, aby na jakim osłizłym kamieniu nie potknąć się i nie narobić hałasu. Woda była płytka, ale rwąca, a kamieniste dno wciąż groziło upadkiem. Dopiero na środku zaczęli płynąć, szybko, jak najszybciej, choć wiedzieli, że Niemcy na tamten brzeg nie będą strzelali.

— No, bracie, udało się, — rzekł Maca wyłazając z wody, — ino nie wiem, jak tu pój-

dzie...

Ale nie skończył mówić, gdy tuż przed nimi ukazał się długi, błyszczący zimnym światłem bagnet i zabrzmiął krótki rozkaz:

— Stój!

Stanęli, kłoby uciekał.

— Ruki w wierzch.

Podnieśli posłusznie.

— Sadiś.

I to zrobili. Było im wszystko jedno.

BRONISŁAW MINC

NOWA RELIGIA NA WSCHODZIE

Persja dzisiejsza przedstawia skomplikowany obraz pod względem narodowościowym i religijnym. Wprawdzie większość ludności oficjalnie wyznaje islam w jego szyickiej formie, ale sam szytyzm nie stanowi jednolitej całości, ale nurtowany jest przez różne prądy. Powiększa rozbieżności religijne istnienie tajnej, a w każdym razie oficjalnie ledwie tolerowanej sekty babistów-bahaistów.

Zwolennicy tej sekty nie stanowią bynajmniej „quantité négligeable”, skoro według szacunków ilość ich wyznawców w Iranie wynosi około 650.000. Ich znaczenie jest prawdopodobnie większe, niż to się pozornie wydaje, gdyż wielu wyznawców szytyzmu faktycznie wyznaje bahaizm. Aby uprzytomnić sobie znaczenie bahaizmu, wystarczy stwierdzić, iż ilość jego wyznawców przewyższa prawdopodobnie trzykrotnie ilość wszystkich Ormian, przebywających w Persji (ilość Ormian szacuje się na około 120.000). Poza tym w skład sekty wchodzi również elementy wykształcone oraz ludzie bogaci, zdolni do wywierania wpływu na masy. Sam zresztą charakter sekty i tradycja długich prześladowań powodują, iż członkowie jej często stanowią element głęboko ideowy, przy czym ideowość ta przechodzi w fanatyzm. Sekta do dziś dnia nie zatraciła dążenia do prozelityzmu.

Historia bahaizmu jest niezwykle charakterystyczna i była opisywana przez uczonych tej miary co Gobineau, Browne, Nicolas, Zukowskij. Pomimo że opisywane wydarzenia miały miejsce w w. XIX i często były współczesne autorom, bynajmniej nie ma zgody między badaczami nawet co do głównych wypadków w historii babizmu, a wiele szczegółów pozostało do dziś dnia niewyjaśnionych.

Epoki wstrząsów społecznych i państwowych powodują wstrząsy w świadomości ludzkiej, zachwianie dotychczasowych wierzeń i sprzyjają powstaniu nowych religii, względnie reformacjom religijnym. Taką epoką wstrząsów był dla Persji wiek XIX.

Do w. XIX powszechne było w Persji przekonanie o wyższości wszystkiego co perskie, tak wysławiane przez Jamesa Moriera w jego słynnej powieści sprzed zgorą stu lat „Hadżi Baba”.

Wojny rosyjsko-perskie (1800—1828), które doprowadziły do oderwania prowincji kaukaskich od Persji, wykazały całą słabość wewnętrzną i wojskową Persji i uświadomiły Persom, że w porównaniu z państwami europejskimi Persja jest nadzwyczaj zacofana. Traktat z Rosją w Turkmancaju (r. 1828), otworzył zarazem szeroko drogę dla ekspansji gospodarczej Rosji i innych państw europejskich na teren Persji. Ekspansja ta spowodowała kryzys rzemiosła perskiego i w następstwie wzrost pauperyzacji w Persji. Wszystko to stanowiło podłoże dla pewnego przewartościowania pojęć i prowadziło do wstrząsów społecznych.

Panująca w Persji religia, islam szyicki, znajdowała się w w. XIX w okresie upadku. Wiara w dwunastu imamów, z którym dwunasty, Mahomet Mahdi, miał zniknąć tajemniczo w IX w. po Chr. i znajdował się dotychczas w tajemniczej krainie Dżabulga, zaćmiła wiarę w jednego Boga i jego proroka Mahometa. Wypełnianie obowiązków nabrało większego znaczenia niż wewnętrzna treść religii. Duchowienstwo szyickie kładło coraz większy nacisk na dobra materialne, tracąc autorytet wśród wiernych. Wierzenia Persów wypełnione były masą przeróżnych przesądów, trudnych do pojęcia dla Europejczyków.

Na tym złożonym tle kryzysu społecznego i religijnego powstała w Persji na początku XIX w. ciekawa sekta muzułmańska, t. zw. sejkaitów. Założycielem tej sekty był Szeik Achmed Bachrieni (1753—1826). Na czym polegała różnica między wierzeniami tej sekty a wierzeniami prawowiernych szyitów? Ortodoksyjni szyici wierzą w pięć artykułów, które nazywają filarami wiary. Te pięć filarów to wiara: 1. w jedność Boga, 2. w sprawiedliwość Boga, 3. w prorocत्व, 4. w imamat i 5. w zmartwychwstanie.

Szeiki opuszczają artykuły 2. i 5., jako już mieszczące się w pojęciu wiary w Boga i proroka, i dodają filar czwarty, a mianowicie, że wśród wiernych musi być zawsze doskonały człowiek (doskonały szyita), który jest pośrednikiem między imamed a ludźmi. Nawigując w ten sposób do tych wierzeń szyickich, które mówią, że dwunasty imam, Mahdi, w pewnym okresie rządził za pomocą naibów (zastępców). Odrzucając czysto zmysłowe pojmowanie dwunastego imama przez prawowiernych szyitów (według których znajduje się w mitycznej krainie Dżabulga, posiada liczne potomstwo i jest nieśmiertelny), sejkici stają na stanowisku, iż właśnie na ziemi wiecła się on w pobożnego człowieka, który głosi słowo Boże.

Następca przywódcy sejkaitów był wielce wpływowy Hadżi Sejed Kazim z Resztu. Umarł on w r. 1843 i nie pozostawił następcy. Umierając, miał on oświadczyć swoim 18 uczniom, że wkrótce pojawi się na ziemi dusza Mahdiego i że powinni śledzić za jej pojawieniem się. Po modlitwach i czterdziestodniowym poście uczniowie ci udali się na poszukiwanie człowieka, obdarzonego duchem Imama.

Jeden z uczniów tych, Mułła Husein, udał się do Szirazu i znalazł tam Mirzę Alego Muhammeda, zwanego później Bab, którego znalazł właśnie za przedstawiciela imama na ziemi, za wodza sejkaitów. W ślad za Mułłą Huseinem poszli niebawem i inni uczniowie zmarłego Sejeda Kazima z Resztu.

Tak więc ścisły związek pomiędzy babizmem a sejkizmem wydaje się być niewątpliwym.

Kim był Bab? Wokół życia jego osnuły się legendy, powstały mity, właściwe zawsze twórcom nowych religii. I nie zmienił tego fakt, że Bab żył w XIX w., kiedy — wydawałoby się — nie ma już miejsca na powstanie nowych mitów religijnych.

Mirza Ali Muhammed urodził się w Szirazie 9 października 1820 r. Ojciec jego był drobnym kupcem płótna i obumarł przyszłego reformatora religijnego, kiedy ten miał lat siedem. Jako młodzieniec Mirza Ali wykazywał więcej skłonności do medytacji religijnych i filozoficznych, niż do interesów kupieckich. W wieku lat osiemnastu udał się on do świętego miejsca szyitów — Kerbeli, gdzie zapoznał się z nauką sekty sejkaitów. Przyszły reformator religijny napisał komentarz do Suraty Jusuf — dwunastego rozdziału Koranu, komentarze do innych rozdziałów Koranu i parę modlitw.

Dnia 23 maja 1844 r., w tysięczną rocznicę zniknięcia dwunastego imama (według kalendarza muzułmańskiego), Mirza Ali Muhammed ogłosił się jako „Bab” (co znaczy po arabsku wrota), przez co rozumiał, że tylko przez niego prowadzą wrota, które otwierają poznanie prawd bożych. Bab miał wówczas 24 lata.

Tytuł Baba nie był oryginalnym, nadał go swoim przywódcom już niektóre sekty muzułmańskie (Izmaelici, Druzowie, Naisairici). Bab na początku uważał się zresztą „tylko” za pośrednika między dwunastym imamed a ludzkością, co było zgodne z nauką sekty sejkaitów.

Wypadki przerosły jednak to pierwotne stanowisko Baba, który nie zatrzymał się na pozycji sekty sejkaitów, ale sam stworzył sektę. Wystąpienia jego przeciwko duchowienstwu szyickiemu, noszące znamiona rewolucji purytańskiej, zjednały mu olbrzymią masę zwolenników i wielką popularność. W listopadzie 1844 r. Bab udał się z pielgrzymką do Mekki, gdzie dokonał wszystkich przepisanych przez religię muzułmańską obrzędów. Po powrocie do Persji działalność Baba wzmogła się jeszcze na sile i wywołała zaniepokojenie i wrogość mułłów szyickich. Sprawa doszła do szacha, który posłał do Szirazu jednego z najbardziej uczonych duchownych, Sejeda Jahę, aby zbadał Baba, wykazał mistyfikację i doniósł o rezultacie swego śledztwa. Rezultat był jednak zupełnie inny, niż przypuszczał szach, albowiem po trzech długich konferencjach wysłannik szacha uznał Baba za obiecane Mesjasza. Wypadków tego rodzaju na wrócenie znanych duchownych szyickich zdarzyło się zresztą parę. Browne dzieli pierwszych wyznawców Baba na kilka grup: 1. pobożnych mahometan, którzy rzeczywiście uwierzyli, że znaki dwunastego imama spełniły się w nim; 2. tych wszystkich, którzy chcieli reform w Persji i myśleli, że babizm doprowadzi do tego celu; 3. mistyków, którzy uważali babizm za podobny do ich własnego panteistycznego systemu; 4. tych, których skłoniło do przyjęcia babizmu osobisty wpływ i charakter Baba.

Po nieudanej próbie przekonania Baba na dyspację z modżtehedami (duchownymi szyickimi) w Isfahanie Bab został uwięziony i odesłany do Tabryzu, a w kilka dni później do Maku, gdzie przez 3 lata więził go makiński chan, Ali. W czasie swojego uwięzienia Bab porządkował swobodnie piórem i mógł ustnie i pisemnie komunikować się ze swoimi zwolennikami.

Pośród tych zwolenników szczególnie dwie osobistości zasługują na uwagę: Mułła Husejn z Biszroj, który pierwszy uznał rzekomo boskość i otrzymał za to tytuł Bab-el-bab (wrota wrót), oraz kobieta, zwana Kurratu l'Ain (pocieszenie oczu). Była ona poetką i prekursorką ruchu feministycznego w Persji, gdyż pierwsza zerwała zastonę i występowała w obronie idei religijnych Baba, połączonych z hasłami walki z despotyzmem. Niektórych wyznawców Baba gorszyło głoszenie nowej wiary przez kobietę, ale Bab całkowicie zaaprobował jej działalność. Oto jak pisze o tej niezwyklej kobiecie angielski orientalista Sell:

„Kurratu l'Ain była największą indywidualnością spośród uczniów Baba. Była ona osobą o wspaniałej pigmkości, posiadała wysoki intelektualny uzdolnienia, była wymowna, oddana sprawie i nie znająca strachu. Oddała ona całą swoją duszę sprawie, której broniła, i jej męczeństwo wywołało oddźwięk sławy wokół jej krótkotrwałej i żywej działalności” (*).

Pozbawienie wolności Baba nie zahamowało działalności babistów, przeciwnie, w okresie uwięzienia Baba ruch przybierał charakter buntów ludowych przeciwko władzom szacha i duchownym szyickim. Pierwsza re-

wolta wybuchła w Mazanderanie, gdzie 360 babistów pod wodzą mułły Hussejna i jego towarzysza Huddusa schroniło się w starej twierdzy Szejech Tebersi. Przez dziewięć miesięcy babiści przy pomocy współwyznawców spośród okolicznej ludności odpierali oblegające ich wojska perskie, a nawet czynili śmiało wycieczki do głównego miasta prowincji Mazanderem, do Sari. Po dziewięciu miesiącach wyczerpani babiści, których wódz, mułła Hussejn, poległ od zbiegającej kuli, złożyli broń pod warunkiem, że zostanie im zachowane życie i że będą przepuszczeni do Bagdadu. Pomimo że dowódca oblegających, Szach-zade Mahdi-Mirza, przysiągł na Koran wypełnić te warunki, babiści zostali podstępnie wymordowani i spośród 360 zdołało uratować życie ucieczką tylko szesnastu.

Powstania i prześladowania babistów miały miejsce również w Nejrizie (prowincja Sziraz). Do największych walk doszło w prowincji Zendżan, gdzie przeciw babistom, którzy na wzór powstańców Mazanderanu schronili się w ruinach starej twierdzy, rząd wystawił 30 tysięcy żołnierzy i 19 armat. W walce po stronie rządu brała również udział konnica dzikich plemion kurdyjskich. Obrona 1.800 babistów trwała od maja 1850 r. do lutego 1851 r. I tym razem babiści skapitulowali w zamian za poręczenie ich niewinności. Wszyscy zostali jednak w mękach zabici, ich mienie rozgrabione, a kobiety i dzieci sprzedane jako niewolnicy w Szirazie.

Wydarzenia w Mazanderanie i Zendżanie oraz obawa dalszych buntów babistów skłoniły nowego szacha, Naser-ed-Dina, który wstąpił na tron w r. 1848, i jego wielkiego wezyra, Hadżi Mirzę Agassi'ego, do zdecydowanych kroków przeciwko twórcy nowej religii, Babowi, pomimo że był on uwięziony i czynnego udziału w walkach babistów nie brał.

Bab został najpierw przesłany do bardziej surowego więzienia w Czechrik, a następnie przesłany do Tabrizu celem osądzenia przez duchowienstwo szyickie i wykonania wyroku śmierci, który w tych warunkach był tylko formalnością. 27 lipca 1850 r. Baba i jego uczeń, Mirzę Muhammeda Alego z Tabrizu, który również został skazany na śmierć, powiesili na ścianie twierdzy Tabryzu dla rozstrzelania. Salwę mieli dać żołnierze chrześcijańscy. Po salwie okazało się jednak, że zabiła ona jedynie ucznia Baba, a Bab wyszedł żywy, a nawet wolny, gdyż kule zerwały sznury, którymi był przywiązany do ściany twierdzy. Nastąpiła dramatyczna chwila. Gobineau sądzi, iż gdyby Bab uciekł w stronę tłumy, który licznie przypatrzywał się widowisku i uwolnienie Baba poczytywał za cud, nie tylko zachowałby wolność, ale w Tabryzie, drugim co do wielkości mieście Persji, wybuchłaby rewolta i prawdopodobnie zostałaby nawet obalona dynastia Kadżarów. Stało się jednak inaczej. Oszołomiony Bab uciekł w kierunku żołnierzy, którzy również wahali się, czy nie widzieć w ocaleniu jego cudu. Jeden z oficerów uderzył jednak Baba szabłą, a gdy krew pociekła, żołnierze położyli kres jego życiu.

Śmierć Baba nastąpiła po 30 latach życia i siedmiu latach prorokowania, z których większą część spędził w więzieniu. Co się stało z trupem Baba, dokładnie nie wiadomo, według jednych historyków został on wrzucony do fosy na pożarcie psom, według innych leżał kilka dni na miejscu kaźni dla postrachu. W każdym razie babiści po pewnym czasie zabrali trupa Baba, albo to, co z niego zostało, i po długiej wędrówce po Iranie, ciało zostało pochowane w Acre u zbocza góry Karmel. Nad grobem wznosi się dzisiaj mauzoleum i meczet.

Śmierć Baba nie położyła kresu działalności sekty babistów. Przez dwa lata, od r. 1850 do 1852, nie było jednak zewnętrznych przejawów działalności sekty. W r. 1852 trzech babistów, prawdopodobnie działając na własną rękę, uczynili nieudany zamach na szacha Naser-ed-Dina. Nastąpiły aresztowania babistów i straszliwe prześladowania tych wszystkich, którzy nie chcieli wyrzec się nowej religii. Babistów torturowano, w rany wtykano palące się świece i oprowadzano po ulicach, a następnie dobijano. Pewną ilość babistów rozdano wśród urzędników dworu, z których każdy musiał ich własnoręcznie zabić. Sykes podaje, iż francuski doktor szacha ledwo się wymógł od zabicia powierzzonego mu babisty tym, iż zabija zawodowo tyle osób, że byłoby rzeczą złądną powiększanie ich liczby przez morderstwo.

Pomiędzy zabitymi babistami znajdowała się słynna poetka babistów Kurratu l'Ain (pocieszenie oczu), która została uduszona i spalona na stosie. Bohaterskie zachowanie się babistów, którzy woleli ponieść męczeńską śmierć niż wyrzec się swojej religii, zjednało im wielu zwolenników.

Prześladowanie babistów w r. 1852 nie było ostatnim. W latach 1878, 1883 i 1889 znów miały miejsce prześladowania i wielu babistów poniosło śmierć. Ostatnie większe prześladowanie miało miejsce w Jezdzie w r. 1903.

w r. 1852 zamknął jeden rozdział w historii nowej religii. Jakie są cechy charakterystyczne nauki, głoszonej przez Baba?

1. Wyrosła na gruncie szyickiego islamu i sekty sejkaitów, nosi ona charakter sekty muzułmańskiej;

2. Bab, który pierwotnie uważał się za pośrednika pomiędzy dwunastym imamed a ludzkością, z kolei sam ogłosił się za oczekiwanego przez muzułmanów Mesjasza;

3. nauki Baba wyłożone są głównie w t. zw. Bajanie, księdze doktryn, napisanej w sposób mistyczny i bardzo niejasny, ważne miejsce zajmują w niej właściwe szyitom mistyczne dociekania co do liczb;

4. ruch babistów, wbrew temu co pierwotnie przypuszczano, nie stanowił żadnej wielkiej reformy socjalnej i jedynie w kwestii kobiecej Bab stał na stanowisku równości pici, a jeśli idzie o państwo — to zgodnie z poglądami muzułmańskimi był on zwolennikiem państwa teokratycznego.

Po r. 1852 rozpoczyna się nowy okres w historii babizmu. Najaktywniejszą część babistów wymigrowała do Bagdadu. Kierownikiem sekty stał się Mirza Jahja, nazwany *Sobh-e-azal* (jutrzenka wieczności).

W r. 1863 dokonał się w sekcje rozłam. Brat Mirzy Jahji, — Mirza Hosein, nazwany *Baha-ullah* (splendor Boży), ogłosił się prorokiem, zesłanym przez Boga na ziemię. Babiści rozpadli się na dwie sekty: *azalistów*, wiernych pierwotnym hasłom Baba, i *bahalistów*. Sekta azalistów wraz ze swoim przywódcą została zesłana przez rząd turecki na wyspę Cypr, gdzie stopniowo znikła. Inny był los bahalistów, którzy z Adrianopola zostali zesłani do Saint Jean d'Acre. Rozpoczęli oni bardzo żywą agitację w Persji i innych krajach i stopniowo objęli wszystkich dotychczasowych wyznawców Baba, a nawet zdobyli nowych prozelitów.

Po śmierci Baha-ullacha w sekcje znów nastąpił rozłam na tle sporów o to, kto ma być przywódcą. Odam, który skupił się wokół *Abdul-baha*, stopniowo zyskał jednak przewagę. Obecnym kierownikiem sekty bahalistów jest Shogu-Effendi, żyjący w Haifie.

Poza Persją większą ilość wyznawców posiadają bahaisci w Stanach Zjednoczonych, gdzie zbudowali sobie świątynie i szkoły. W Niemczech hitlerowskich działalność sekty została zakazana. Głównym jednak terenem działalności sekty była i jest Persja.

Jaki jest stosunek bahalistów do innych religii i do samego babizmu?

Babiści uznają wszystkich dotychczasowych proroków, a Baha-ullah za ostatniego proroka, który zamknął cykl proroków. Nowego proroka nie należy oczekiwać przed upływem tysiąca lat. Bahaisci głoszą hasło połączenia wszystkich religii pod zwierzchnim autorytetem bahaizmu.

Poza tym sektę bahalistów cechuje głoszenie szeregu haseł o charakterze utopijnym, np. zniesienie granic, stworzenie trybunału międzynarodowego, stworzenie wspólnego języka. W dziedzinie ekonomicznej program bahalistów jest bardzo niejasny i zdaje się przyjmować zasady arbitrażu. Bahaisci przyjmują zasadę wódzostwa religijnego, ich najwyższy zwierzchnik, Shogu Effendi, nosi tytuł strażnika wiary, ale nie posiadają duchowienstwa, uważając, iż ludzom nie trzeba pośredników w kontakcie z Bogiem.

W stosunku do babizmu bahaizm stanowi pewnego rodzaju deformację, gdyż wbrew prawdzie historycznej dzisiejsi bahaisci uważają, iż Bab jedynie zapowiedział przyjście proroka, głoszącego słowo Boże, t. j. Baha-ullacha, podczas gdy w rzeczywistości Bab w końcowej fazie swej działalności głosił, iż sam jest zesłanym przez Boga prorokiem. Według wierzeń dzisiejszych bahalistów Bab był więc kimś w rodzaju ewangelicznego Jana Chrzciciela.

Jak należy ocenić ideologię i rolę społeczną nowej sekty? Większość uczonych (np. Montet, oraz Massé) ocenia ją niezwykle dodatnio, uważając ją za nową religię o wysokich założeniach etycznych, i łączą z nią nadzieję gruntownego przeobrażenia życia religijnego w Persji.

Trudno się jednak z tymi poglądami zgodzić. Formalnie bowiem bahaizm stanowi rzeczywiste nową religię, a nie kontynuację islamu, faktycznie jednak związki sekty bahalistów z szytyzmem są bardzo silne. Przejawia się to nie tylko w genezie powstania bahaizmu, ale również i w tym, że: bahaisci perscy uznają za proroków dwunastu imamów, że bahaisci podobnie jak szyici przypisują magiczne znaczenie cyfrom i uważają za świętą cyfrę „dziewięć, oraz że wierzą, iż państwo ma mieć charakter teokratyczny i ma być rządzone przez zgromadzenie bahalistów w liczbie 9 osób (ridżały).

Poglądy niektórych orientalistów, uważających, że bahaizm potrafi dokonać zasadniczych przemian w życiu Persji, wydają się nieuzasadnione. Cały dotychczasowy rezultat działalności sekty i jej ideologia, utopijna i wykazująca silny związek z szytyzmem, nie wskazują na to, by bahaizm potrafił dokonać gruntownego przeobrażenia religijnego i społecznego Iranu.

*) Sell, The Faith of Islam, str. 192.

Śmierć Baba i prześladowania babistów

FAKTY I KOMENTARZE

Włoskie paradoksy

Włochy są widownią najbardziej fantastycznych qui pro quo. Na południu, przybyły z Moskwy weteran Kominternu, znany komunistą Ercoli, który powrócił obecnie do swego nazwiska Tagliotte, nawołuje do współpracy z marszałkiem Badoglio. Ciemny i biedny lud południowych Włoch nie rozumie co się dzieje. Przypominają mu się czasy sprzed lat 40—50, kiedy na Sycylii demonstracje przeciw rządowi zrozpaczonych swą nędzą chłopów nosiły w pochodach portrety Karola Marxa i patronki św. Rozalii, a karabinierzy królewscy strzelali do tłumu.

Jednocześnie na północy Mussolini szantażuje robotników Turynu, Mediolanu, Bolonii i innych ośrodków przemysłowych ideą Włoskiej Republiki Socjalistycznej. Jest to oficjalna nazwa „państwa”, którym ludzi się Mussolini po zdegradowaniu przez siebie króla Emanuela. Statuty organizacyjne tej republiki są tego rodzaju, że jej konstytucja bez mała nie różni się od ustroju szesnastu republik socjalistycznych Związku Sowieckiego.

Neofaszyzm powrócił do hasła z okresu narodzin, twierdząc, że w czasie od marszu na Rzym aż do lata 1943 r. polityka faszystów była konsekwentną przemysłową, taktycznych kompromisów. Obecnie najbardziej bojowe hasła z dni, kiedy Mussolinemu chodziło o wciągnięcie mas robotniczych w szeregi czarnych koszul, zostały we Włoskiej Republice Socjalistycznej ujęte w kodeks cywilny i zwłaszcza dobitnie sformułowane w ogłoszonej w lutym 1944. „Karcie Pracy” (Carta del Lavoro).

Ideolodzy neofaszyzmu przeciwstawiają się zarówno kapitalizmowi państwowemu, zrealizowanemu w ZSRR, jak kapitalizmowi plutokratycznemu, cechującemu według nich stonki w t. zw. demokracjach. Teoretycznie ich działalność ustawodawcza jest przeniknięta ideami solidaryzmu społecznego.

Wprowadzony we Włoskiej Republice Socjalistycznej Codice Civile nie znosi własności prywatnej, ani nie upaństwowia ogółu przedsiębiorstw. Wyróżnia się zarówno etatyzmu, jak ograniczenia inicjatywy prywatnej. Dąży tylko do przyszanowania praw pracy i jej przedstawicieli. W każdym zakładzie pracownicy mają ustawowy udział w kierownictwie. Przedsiębiorca jest dla nich autorytetem technicznym, ale jednocześnie jest odpowiedzialny przed władzami państwa za każdą swą czynność. Carta del Lavoro głosi:

Budżet sowiecki na rok 1944

Po raz pierwszy w czasie obecnej wojny komisarz finansowy, Zwieriew, przedstawił połączonym izbom zestawienie rachunków państwowych za trzy lata ubiegłe i budżet na rok 1944. Rachunki za lata 1941 i 1942 są bardzo niekompletne w wyniku wojny i ewakuacji, tak że dopiero cyfry za rok 1943 i budżet na rok 1944 dają pewien wgląd w sowiecką gospodarkę wojenną. W porównaniu z danymi za r. 1940 wglądają one następująco (w miliardach rubli):

(budżet)	1940	1943	1944
Dochody państwowe	180.2	210.0	245.6
w tym: obrotowy	105.8	71.1	80.2
Wydatki	174.3	210.0	245.6
w tym: wojskowe	56.0	124.7	128.4
na gospodarkę	57.1	31.1	44.7

Budżet państwa sowieckiego jest czymś strukturalnie różnym od innych budżetów państwowych i wielu jego pozycjom odpowiadają dochody i wydatki dużych grup ludności w innych państwach. Tak np. dochody państwa sowieckiego obejmują całokształt dochodów z kapiłału, gdyż państwo jest jedynym kapitalistą, w wydatkach zaś mamy całą sumę kapitalizacji i nowych inwestycji w przemyśle — pozycja, która należy w innych krajach do zestawienia dochodu społecznego, a nie do budżetu.

Pewne porównanie wpływu wojny na gospodarkę państwową warto jednak przeprowadzić. Uderzającą cechą finansów sowieckich w czasie wojny jest stosunkowo mały wzrost wydatków. Wynosi on tylko 41% w stosunku do okresu przedwojennego, podczas gdy w Anglii wydatki państwowe wzrosły od r. 1938 do 1942 o 319%, a w Stanach Zjednoczonych od 1939 do 1942 wzrost wyniósł 276%. Nawet wydatki wojskowe wzrosły stosunkowo nieznacznie, bo o 130%. Zjawisko to świadczy z jednej strony o tym, że system sowiecki nie posiadał przed wojną rezerw, któreby pozwoliły na ekspansję budżetu, z drugiej zaś strony jest pewną miarą zniszczenia wojennych i skurczenia się bazy

zarząd przedsiębiorstwem, czy to własności państwowej, czy własności prywatnej, jest uspołeczniony. Zapewniony jest bezpośredni udział pracy w tym zarządzie.

Ten typ organizacji społecznej przypomina poprzez mgłą wczesny okres leninowskiego komunizmu, kiedy obowiązywało hasło „cała władza w rękach komitetów lokalnych”, ale jednocześnie są w obecnych ustawach północnych Włoch zawarte ramy skrajnego centralizmu, a wszystko razem przypomina raczej jakiś włoski NEP. Organa państwowe mogą w stosunku do przedsiębiorstw: a) sprawować wszechstronną kontrolę, b) okazywać zachętę (incoraggiamento), wreszcie c) obejmować zarząd bezpośredni (gestione diretta). Określenie warunków, w jakich następować będzie trzeci rodzaj interwencji państwa, jest sformułowany w ten sposób, że zapewnia ministrowi dyskrecyjne kompetencje, gdyż powiedziane jest, że wystarczy na to, aby przedsiębiorca nie uczynił zadość wymaganiom dobra państwa i ogółu obywateli.

W całym rozważaniu wzięliśmy na bok niewątpliwy fakt, że Włoska Republika Socjalistyczna jest tylko elemerydą, która nie będzie zdolna przeżyć zwycięstw generałów Aleksandra i Clarka. Chodzi bowiem tutaj o rozpatrzenie teoretycznej jednej z prób Nowego Ładu, który łączy w sobie wady konsekwentnego kolektywizmu i utopijnego idealizmu, a nie posiada ich zalet. Nadmiar dyskrecyjnej władzy musi skorumpować ministrów i wepchnąć ich na drogę totalnej dyktatury.

Gdyby więc wyobrazić sobie, rzecz nieprawdopodobną, że Włoska Republika Socjalistyczna przetrwa wojnę, to mielibyśmy możliwość obserwować, jak neofaszyzm zdecydowanie przekształca się w kapitalizm państwowy lub też powraca do form plutokratycznych.

Byłoby niezmiernie interesujące skonfrontować obecnych działaczy „frontu ludowego” junty południowej z autorami północnego code civile i carte del lavoro. Wszystkie hasła sztandarowe i taktyczne musiałyby wtedy pękać jak bańki mydlane i rozgorzeć musiałyby między jednymi i drugimi walka, która może oczyścić powietrze Italii od przepiegniętych jej miazmatów i zmienić sytuację z nieprawdziwego zdarzenia, że Mussolini zmierza do komunizmu, zaś Ercoli podpierają królewską koronę z gorliwością szczerego rojalisty.

przemysłowej sowieckiej gospodarki wojennej. Rezerwy krajów zachodnich obejmowały ogromne ilości ludzi, zatrudnionych w produkcji, zaspokajającej potrzeby „luksusowe” — ograniczenie konsumpcji i wciągnięcie do aparatu produkcyjnego osób niezatrudnionych i nie chcących pracować było w krajach zachodnich podstawą wojennej ekspansji produkcji. System sowiecki tych rezerw nie posiadał. Już przed wojną wciągnięto tam wszystkich mieszkańców do wolnej i przymusowej pracy, tak, że jedyną rezerwą wojenną była jeszcze niewykorzystana marża dnia pracy i możliwość podniesienia „norm”. Także i możliwość ograniczenia konsumpcji cywilnej jest w Rosji mniejsza niż w innych krajach, bo konsumpcja ta ma co wykazywać ponad minimum egzystencji. Pewną miarą ściśnienia konsumpcji może być spadek wpływów podatku obrotowego o 36%, pomimo podwojenia stawek.

Pełne wyzyskanie wszystkich rezerw już w czasie pokoju dało Rosji dobry start wojenny, przyczyniło się do tego także przystosowanie przemysłu rosyjskiego do produkcji wojennej już w momencie zakładania go. Brak wolnych rezerw utrudniłby jednak w wysokim stopniu w braku dostaw „lease and lend” prowadzenie długiej wojny, a będzie na pewno duża przeszkoda w odbudowaniu terenów zniszczonych...

Wszystkie podane tu budżety wojenne są zrównoważone, nie możemy określić, czy i jak wielkie deficyty ukryto jako zadłużenia wojenne i czy są w gospodarce sowieckiej tendencje inflacyjne. Cyfry budżetowe robią także wrażenie, jakby pieniądź w Sowietach nie stracił swojej siły kupna. Jest to chyba tylko wynikiem rachowania w fikcyjnych rublach o stałej sile kupna. Metodę tę stosowano w Rosji jeszcze przed wojną, używając w zestawieniach finansowych „sztywnych” rubli o sile nabywczej z r. 1926/27. Praktyka ta uniemożliwia nam danie odpowiedzi na pytania, jak daleko posunięta jest inflacja wojenna w Rosji Sowieckiej.

Rosyjska arktyczna droga morską

W prasie niemieckiej pełno było niedawno opisów rejsów niemieckiego kłazownika pomocniczego „Die Komet”, który dostawczy się w r. 1941 na Pacyfik, grasował tam przez czas dłuższy, zaopatrując się w portach japońskich w paliwo, poczem przez Atlantyk wrócił do portu macierzystego. Na Pacyfik zaś wyostał się on na krótko przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej rosyjską polarną drogą morską, wzdłuż północnych wybrzeży Syberii. Rosjanie co prawda zapowie-

dzieli, że nie będą przepuszczali tą drogą okrętów państw wujujących, ale Niemcy zakamuflowali armaty, a gospodarze nie sprawdził znowu zbyt dokładnie. Dzięki temu okręty, kierowane przez rosyjskie samoloty i pilotowane przez rosyjskie łamacze lodów, przedostały się na Pacyfik drogą najkrótszą, ale też trudną i bardzo śnieżną daty.

Co prawda próbował jej po raz pierwszy jeszcze w połowie XVI w., bo w r. 1553, Anglik Sir Henry Willoughby, który tą drogą

chciał się dostać do Indii, ale próba jego skończyła się tragicznie, bo śmiercią zuchwałego podróżnika. Na udaną próbę trzeba było czekać jeszcze zgórą trzy wieki. Nils Nordenskiöld był pierwszym człowiekiem, który — w r. 1879 — przepłynął drogą arktyczną, „na dachu kuli ziemskiej”, z Europy na Pacyfik.

Regularną komunikację zdecydowano się organizować dopiero w r. 1926. W tym to roku Rosjanie przystąpili do urzeczywistniania wielkiego planu zorganizowania stałej komunikacji morskiej między Murmańskiem i Archangielskiem a portami wybrzeża Pacyfiku oraz wielkimi rzekami syberyjskimi, u których ujść rozpoczęli budować nowoczesne porty. Angielski autor, od którego dane te czerpiemy, E.R. Yarham, z uznaniem podnosi, że wielki łamacz fal u ujścia rzeki Kołomy zbudowany został w czasie nocy polarnej z r. 1934 na 1935, „w porze roku, kiedy w czasach carskich praca była uznana za praktycznie niemożliwą” w tym rejonie. W budowę tych portów włożono mnóstwo wysiłku. Jeden z nich, Igarka, u ujścia Jenisieju, położony już za Kręgiem Polarnym, rozrósł się w ciągu kilku lat z nędznego osiedla w spore, dwudziestotysięczne miasto. Zorganizowano także wielką sieć stacji meteorologicznych oraz urządzono szereg badawczych wypraw polarnych. Zaprowadzono stałe patrolowanie mórz polarnych przez samoloty. Znana epopea „Siedowa” oraz ekspedycja ratunkowa Papanina związane są z historią organizowania tej arktycznej drogi morskiej.

Główna trudność zorganizowania regularnej komunikacji polegała na tym, że morza arktyczne nadają się do żeglugi zaledwie od lipca do początku września. Potem zamarzają. Rosjanie twierdzą jednak, że potężna flota łańcuchy lodów, z olbrzymim „Josifem Stalinem” na czele, pozwala im okres ten znacznie w obie strony rozszerzyć.

Dlaczego Rosjanom na drodze tej tak bardzo zależało? Wechodziły tu w grę różne przyczyny. Poważne znaczenie miały względy

natury gospodarczej. Kolej transsyberyjska jest przeciążona, a zresztą transport kolejowy na tak wielkie dystanse jest drogi: transport tonny żelaza koleją z Rosji Europejskiej do Jakucka np. kosztuje około 1.000 rubli. Jeśli jednak tę samą tonnę sprowadzi się koleją do Murmańska, stamtąd drogą morską do portu Tiksi u ujścia rzeki Leny, skąd znowu w górę rzeki do Jakucka, — to cena transportu spadnie niemal że o połowę.

Nie względy gospodarcze jednak tu decydowały. Kolej transsyberyjska jest nie tylko przeciążona, ale także przebiega w strefie strategicznie niebezpiecznej, tak blisko granicy Mandżurii, że stanowi łatwy cel dla bombardowań z powietrza i może być szybko przecięta. Tymczasem rejon mórz polarnych jest poza zasięgiem najpotężniejszych nawet nierosyjskich bombowców. Zorganizowanie w tym rejonie regularnej komunikacji jest równoznaczne z uwolnieniem się od zmyru oddziały Wschodniej Syberii od Rosji Europejskiej.

Tę regularną komunikację udało się Rosjanom po wielu próbach zorganizować po raz pierwszy dopiero w r. 1936. W r. 1939, ostatnim, z którego mamy oficjalne dane sowieckie, odbyło tę drogą blisko sto statków towarowych. Był to zarazem pierwszy rok, w ciągu którego ani jeden statek nie uwięziony w lodach.

Dziś o polarnej drodze morskiej mówi się bardzo mało, ale mimo to niewątpliwie odgrywa ona obecnie znaczną rolę i ilość statków, kursujących tą drogą, na pewno w porównaniu z r. 1939 zwiększyła się wielokrotnie. Znaczenie tej drogi ogromnie wzrosło od czasu, kiedy Amerykanie wybudowali szosę z Fairbanks do wybrzeży zatoki Beringa. Dzięki tej szosie droga północna stała się najkrótszą i najbezpieczniejszą drogą dostaw amerykańskiego sprzętu wojennego do Rosji. Japończycy twierdzą, że tą też drogą Rosjanie przetrucili w r. 1941 znaczną ilość łodzi podwodnych do Władywostoku dla wzmożenia swej floty wojennej na Pacyfiku.

Giovanni Gentile

Gazety doniosły, że dn. 15 kwietnia zastrelony został we Florencji profesor filozofii uniwersytetu rzymskiego, Giovanni Gentile. Zabity filozof był nie tylko czołowym ideologiem faszystowskim, ale też i najwybitniejszym organizatorem włoskiego życia kulturalnego w myśl zasad faszystów.

Urodził się w r. 1875. Już po ukończeniu studiów osiem lat swej młodości spędził w Neapolu. Zetknął się tam z Crocem. Od momentu powstania „La Critica” należy do najbliższych współpracowników Crocego. Wspólnie z nim walczył o odrodzenie włoskiej kultury filozoficznej. Jest z przekonaniem neoheglistą. Rozwija żywą działalność pisarską w zakresie filozofii i pedagogiki z częstymi wypadami w dziedziny krytyki i historii kultury.

Rozdzielił obu filozofów marsz na Rzym. Gentile od samego początku zajmuje jedno z czołowych miejsc w ruchu faszystowskim. W październiku 1922 r. zostaje mianowany ministrem oświaty. Pozostał na tym stanowisku względnie niedługo, niecałe dwa lata, ale czas ten wystarczył mu dla przeprowadzenia bardzo zasadniczej reformy całego włoskiego szkolnictwa. W miejsce starego włoskiego ustroju szkolnego, opierającego się na ustawie Casatiego jeszcze z r. 1859, przychodził ustrój nowy, faszystowski. Wszystkie przeprowadzane później w różnych państwach europejskich reformy systemu wychowania w kierunku totalizmu miały w sobie dużo z ducha reformy Gentilego.

W lecie 1924 r. Gentile ustępuje ze stanowiska ministra. Nie oznacza to jednak ani niełaski, ani wycofania się z życia politycznego. Przeciwnie, obrasta w godności i w zaszczyty. Zostaje członkiem Wielkiej Rady Faszystowskiej. Jest prezesem Rady Wychowania Publicznego i dyrektorem Instytutu Włosko-Niemieckiego (był zawsze germanofilem), kieruje Instytutem Kultury Faszystowskiej i Instytutem Międzyuniwersyteckim. redaguje „Educazione Fascista” i „Giornale Critico della Filosofia Italiana”, współredaguje miesięcznik „Nuova Antologia”, prowadzi wielką spółkę wydawniczą „Al Libro Italiano”, należy do zarządu innego wielkiego wydawnictwa „Treves”, które luksusowo wydaje zbiorową edycję jego dzieł. Dzieła te stają się lekturą obowiązkową studentów wyższych filozoficznych. Kiedy zaś ma się urzeczywistnić projekt wielkiej faszystowskiej encyklo-

pedii „Enciclopedia Italiana”, staje na czele jej redakcji.

Dwa reżimy współcześnie przystąpiły do realizowania na wielką skalę, encyklopedy, któreby z jednej strony przynosiły ich ideowe „summy”, z drugiej — były rodzajem kart wizytowych ich kulturalnych osiągnięć. Rosyjska „Bolszaja Sowietkaja Enciklopedija” zakrojona była na większą skalę, bo na około sto tomów, ale też po dziś dzień jest ona jeszcze dość daleka końca. „Italana” objęła „tylko” 36 pękających tomów. Jest to jedna z największych, a na pewno najbogaciej ilustrowana encyklopedia w świecie: wystarczy choćby zobaczyć, jakie mnóstwo zdjęć i planów ilustruje artykuł o Jerozolimie. (Sprawiedliwość nakazuje też przyznać, że żadna inna pozapolska encyklopedia w świecie nie ma tak bogatego działu polskiego; jest to zasługa w pierwszym rzędzie rzymskiego profesora polonistyki, Giovanniego Mavera).

Praca nad encyklopedią natrafiała na trudności, bardzo typowe dla wszelkiej pracy kulturalnej w warunkach ustroju totalnych. Tom z hasłem „Etiopia” został w czasie wojny abisyńskiej skonfiskowany, trzeba go było wycofywać z bibliotek i zastępować przez inny. Artykuł o Abisynii pisany był w nim wtedy, kiedy we Włoszech nie dojrzała myśl wyprawy dla zdobycia tego kraju. Napisało o Abisynii jako o kraju, mającym prawo do normalnego, państwowego bytu. Nie dziwnego, że potem znaleziono w artykule — odchylenia od linii.

Potknięcia takie należały jednak w karierze Gentilego do wyjątków. Reżim wysuwał go na czołowe stanowiska, obsypał zaszczytami, zrobił z niego niemal że instytucję faszystowską. Nazywano go „królem” kultury faszystowskiej. Amerykański dziennikarz O'Hara pisze o nim jako o „nimfie Egerii” reżimu. Zato natychmiast po dymisji Mussoliniego, kiedy reżim się wywrócił, próbuje wolty. Pisz list do ministra oświaty w pierwszym rządzie Badoglio, Leonarda Severiego, ofiarowując swoją współpracę. Oferta zostaje odrzucona. Wtedy wraz z innymi dostojnikami faszystowskimi opuszcza Rzym. Za „wierność” tę zostaje szybko wynagrodzony. Republikańska Partia Faszystowska obdarza go jeszcze jedną godnością — prezesa Akademii Włoskiej. Przeżył on reżim zaledwie o kilka miesięcy.

ECHA ARTYKUŁÓW „W DRODZE”

Trzy gazety hebrajskie, mianowicie „Yedioth Acharonoth” z dn. 26 kwietnia, oraz „Hamashkif” i „Hatzofeh” z dn. 27 kwietnia, przedrukowały artykuł wstępną nr 8 (26) „W Drodze”: Kazimierz Grzybowski „Polacy i Żydzi”.

Ogłoszone w numerze 6 (24) „W Drodze” z rysunkami Topolskiego i Matuszczaka, dwa artykuły o Kairze, Jerzego Pomiana „Trzy oblicza Kairu” i Romana Fajansa „Pięćdziesiąt lat Kairu” — wywołały echa w prasie kairskiej. Obszerne felieton, ozdobiony reprodukcją rysunku Matuszczaka „W hallu Shepherds'a”, zamieścił „Le Progrès Egyptien” z dn. 13 kwietnia. W felietonie, który przynosi streszczenia i wyjątki z obu artykułów, pismo nasze zostało przedstawiane jako „la grande revue polonaise, politique et littéraire „W Drodze”, publiée depuis plus d'un an à Jeru-

salem par le Centre d'Information Polonaise en Orient”. Notatkę o obu artykułach przynosi również „La Bourse Egyptienne” z dn. 15 kwietnia. Podkreślono w niej, że jeden z artykułów ilustrowany jest przez Matuszczaka, „któremu zawdzięczamy piękne rysunki, bardzo wybitnej wartości, zamieszczane w „La Marseillaise”.

Londyński „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” w numerach z dn. 7 i 8 marca przedrukował z nr 18 „W Drodze” Ignacego Kleczyńskiego „Wieczory Tobruckie”. Artykuł podano jako „przedruk z nr 18 pisma A.P. na Wschodzie „W Drodze”. Redakcja „Dziennika”, nie mając dostępu do prasy egipskiej, nie mogła, rzecz prosta, wiedzieć, że pismo nasze wydawane jest nie przez APW, ale przez Centrum Informacji.

OPINIE ANGIELSKIE Z PRASY OBCEJ

Partie angielskie a wybory

Anglia — podobnie jak Ameryka — przeżywa obecnie wiele emocji wyborczych. Po wyborach dodatkowych w Skipton, które zakończyły się sensacyjną porażką rządu, były wybory w Brighton, gdzie najpewniejszy mandat konserwatywny przeszedł znikomą większością głosów; wybory w West-Derbyshire, — gdzie wygrał niezależny kandydat White, syn słuśarza, przeciw Lordowi Hartington, w którego rodzinie mandat był — rzecz można — dziedziczny; wybory w Kirkaldy, gdzie kandydat Labour Party ledwo przeszedł w walce z nacjonalistą szkockim; oraz wybory w Bury St. Edmunds, gdzie Mrs. Corbett Ashby, która zrezygnowała ze stanowiska wiceprzewodniczącej partii liberalnej, aby móc stać się do wyborów, przegrała, mając mniejszość zaledwie 2500 głosów.

Obserwując życie polityczne Anglii, wyczuwa się bardzo wyraźnie jakieś podskórne wrzenie, jakiś niezrozumiały, nieartykułowany niepokój.

Torysi (konserwatyści) tracą grunt w wyborach dodatkowych, ale z drugiej strony wykazują niesłychaną żywotność zarówno w parlamencie, jak i w kraju. Postępowe koła konserwatystów idą w swym radykalizmie nieraz dalej na lewo niż prawica Labour Party, Trade Uniony. Mnożą się projekty, plany, rozmaite „White Papers”, wydawane przez postępowe ugrupowania i koterie partii konserwatywnej: o planie Beveridge’a, o przemysle po wojnie, o problemie bezrobocia. Jak pisał *The Economist*: „Niemal że na pewno fala idzie na lewo, ale konserwatyści, jeśli tylko zechcą, mogą uchwycić się jej równie dobrze, jak każda inna partia”.

W Labour Party sprawy również nie przedstawiają się sielsko-anielsko. Z jednej strony starszyzna partii, stojąca wiernie przy rozejmie i koalicji rządowej, z drugiej strony — lewica partyjna, niekompromisowa i pobudliwa, która widzi okazję do zrealizowania socjalizmu i dąży świadomie do rozgrywki z Torysami. Jedni argumentują: wojna przede wszystkim i, dopóki wojny nie wygramy, nie stać Anglii na wewnętrzną walkę polityczną. Drudzy twierdzą, że Torysi, którzy odnieśli przypadkowe zwycięstwo w wyborach 1935 r., trzymają się władzy prawem kaduka i, nie mając oparcia w kraju, przesuwają termin rozgrywki aż do korzystniejszej dla nich chwili. Ta chwila — mówią lewicowcy Labour Party — nastąpi po wygranej wojnie, gdy konserwatyści zechcą obciąć kupony churchilowskiej popularności.

Oprócz tego są jednak jeszcze inne konflikty. Konflikt klasowy, który znają wszystkie partie socjalistyczne świata, pomiędzy tymi, którzy się „dorobili”, a dołami partii; gra pomiędzy socjalistami a machiną Trade Unionów; wreszcie fakt, że na skutek zbyt szerokiej skali poglądów, ścierających się w łonie samej partii, program jej jest zbyt ostrożny i nie dość porywający. To wszystko odbija się niewątpliwie na popularności Labour Party. Wybory w Kirkaldy są bardzo groźnym „memento”.

Partia liberalna bynajmniej nie „umarła”, jak to przypuszczają cudzoziemcy. Przy następnych wyborach może znowu wypłynąć. Trzeba przyznać, że wykazuje dużą aktywność i sporo polotu. Nowym prezesem partii liberalnej została niedawno wybrana Lady Violet Bonham Carter, córka Asquitha. W swym pierwszym oficjalnym wystąpieniu przeciwstawiła się ona rozejmowi partyjnemu. Na walce wyborczej zyskać mogą głównie liberalowie, choćby dlatego, że nie mają wiele do stracenia. To, że partia liberalna nie ma skrytalizowanej polityki zagranicznej, ani programu dla Europy, w grze wyborczej nie wiele znaczy. Wybory w Anglii rozgrywane są zawsze na płaszczyźnie wewnętrzno-politycznej.

Dla pełności obrazu należy wyjaśnić, że Anglia — podobnie jak Ameryka — nie ma systemu wyborów proporcjonalnych. W każdym okręgu wygrywa kandydat, który ma największą ilość głosów. W czasach, gdy naprawdę istniały tylko dwie partie, „niesprawiedliwość” nie była zbyt rażąca, gdyż szanse były równe. Obecnie, gdy do wyborów staje trzech i więcej kandydatów, często się zdarza, że wygrywa kandydat, przeciw któremu głosowała większość wyborców. Jeśli na przykład kandydat konserwatywny, ma 10.000 głosów, kandydat Labour Party — 9.000, a kandydat liberalny — 8.000, to do parlamentu wchodzi konserwatysta, mimo że ilość głosów, oddana przeciw niemu (za labourzystą i liberałem), wynosi 17.000. W ten sposób zdarzało się, że partia, która w kraju miała mniejszość wyborców za sobą, miewała w parlamencie większość. Równie charakterystyczne są następujące cyfry wyborów z roku 1935, w których ilość głosów, oddanych na partie rządowe, bynajmniej nie usprawiedliwia tej przewagi mandatów, jaką te partie posiadają.

	ilość głosów	ilość posłów
Partie prorządowe:		
Conservatives (Baldwin)	10.488.626	887
National Labour (MacDonald)	939.811	18
Liberal Nat. (Simon)	866.624	33
National	97.271	3
razem	11.792.332	431
Opozycja:		
Labour Party (Attlee)	8.325.260	154
I. L. P.	139.517	4
Liberals (Samuel)	1.377.962	17
Indep. Lib. (Lloyd George)	65.150	4
Communists	27.117	1
Republican	56.833	2
Independent	217.666	2
razem	10.209.505	184

Jakikolwiek będzie jednak los rozejmu, zawartego przez partie na czas wojny, możemy się spodziewać ostrych rozgrywek wewnętrzno politycznych, które w miarę jak wojna zbliżać się będzie ku końcowi, będą coraz żywsze.

Sentymentalny racjonalizm

J. L. Hodson w piątym tomie swych pamiętników wojennych p. t. „Home Front” (Victor Gollancz Ltd., 1944) opowiada, że „Wing-Commander A. E. Clouston w toku badań nad niszczącym działaniem lin balonów zaporowych z rozmyślnym wlatywał na nie, chcąc stwierdzić, jaki rodzaj linii najbardziej uszkadza skrzydło samolotu. To jest odwaga najwyższego rzędu. Dowodzi ona, że śmierć nie jest przeszkodą dla najlepszych spośród nas”.

Oto przykład konsekwencji „morale”. Nie zapamiętała mściwość, nie „raz kocio śmierć”, nie stracenia brawura, nawet nie ofiara — której tak wzniosły przykład dał w ubiegłej wojnie Rolland Garros — ale ryzyko z wyrachowania. Obmyślane i wyrozumowane, konsekwentne i uporczywe, L. bardzo typowo angielskie.

Najciekawszą namiętnością angielską i najbardziej charakterystyczną odrębnością jest fakt, że Anglicy lubią rozumieć. Lubią rozumieć to, co robią, czemu służą, do czego się modlą, o co walczą, za co kochają. Ten „racjonalizm” nie ma nic wspólnego z francuskim ukochaniem precyzji. Nie jest postawą myślową, ale wynikiem pewnej specyficznej cechy charakteru, usposobienia, temperamentu. Jeśli Anglik coś zrozumie, nie oznacza to, że będzie zawsze postępował w myśl tego zrozumienia. Ale jeśli to, co rozumiał, poruszy jego sumienie, przemówi do jego serca lub będzie szło po linii jego usposobienia — wówczas nie będzie się oglądał ani na prawo, ani na lewo, ale jak ów rycerz „sans peur et sans reproche” bez wahania pójdzie za głosem... rozumu.

Ten sentymentalny racjonalizm spotykamy na wszystkich szczeblach społecznych i na wszystkich poziomach umysłowych. Od naiwnych prostactwów, wierzących w dosłowną prawdę biblii, którzy wiarę swą obnoszą na transparentach i każą na... Piccadilly, aż po ludzi takich, jak 38-letni Sir Richard Acland, który w imię swej ideologii i swych przekonań ofiarowuje na rzecz państwa swój majątek, wartości 400.000 funtów. Bohaterstwo Wing-Commandera A. E. Cloustona, lotników Battle of Britain, strażaków A. F. S., wardenów A. R. P., ofiarność siostr szpitalnych, kobiet z W. A. S., które służą bezpłatnie w kantonach, w ochronkach, w szpitalach; entuzjazm Home Guardu — tej do niedawna ochotniczej, krajowej armii obywatelskiej, — to wszystko i wiele jeszcze innych spraw jest niewątpliwie także wynikiem owego sentymentalnego racjonalizmu.

O polskiej propagandzie i o filmie p. t. „Madame Curie”

Kina londyńskie wyświetlały obecnie film p. t. „Madame Curie”. W tych dniach gorączkowej działalności polskiej propagandy przysłówowe szczęście obdarzyło nas — bez naszego przyzwolenia się — najlepszym atutem. Setki tysięcy ludzi w Anglii zobaczy ten film o wielkiej Polce, a że argument emocjonalny jest wciąż jeszcze argumentem najbardziej przekonującym, więc na pewno wielu Anglików lepiej poczęło myśleć o Polsce.

Na skutek wydarzeń, nad którymi nie mamy władzy, jesteśmy obecnie ośrodkiem kontrowersji, która jak potężna soczewka ogniskuje na słowie „Polska” potężny snop światła ludzkich zainteresowań. W takiej chwili film, — i do tego jeden z najlepszych „jakie od dawna ukazały się na ekranie, — którego bohaterką jest Polka, wywołuje podwójne zainteresowanie.

Cały nacisk naszej oficjalnej i nieoficjalnej propagandy położyliśmy na sprawy, fakty, argumenty i wydarzenia polityczne, które w najlepszym wypadku nikogo oprócz nas nie interesują, a bardzo często wywołują opory i sprzeciw. Polska racja stanu walczy z zakusami Rosji na polskie ziemie wschodnie, a więc od razu polska propaganda konstruuje misterny szkielet argumentacji politycznej. Legalistka — argument: prawo jest święte, a prawo jest za nami; wyszukane i uczonne racje historyczne, etnograficzne, statystyczne; koncepcja federacji środkowo-europejskiej, słuszna, ale nie do zrealizowania w obliczu oporu Rosji; pomoc i zachęta, udzielana reakcji anglo-amerykańskiej, która bynajmniej nie walczy z Rosją o nasze prawa czy o nasze granice — oto najukochańsze tematy naszej propagandy. Jednak te tematy, słuszne czy niesłuszne, rzeczowe czy nierzeczowe, diablo mało Anglików interesują.

W ten sposób polska propaganda polityczna w 99 wypadkach na 100 uderza w próżnię. Propagandę polityczną można robić, gdy się ma za sobą ze sto dobrze uzbrojonych i zwycięskich dywizji. Tej prawdy nie umieliśmy i do dziś dnia nie umiemy dostrzec. Gdy wydajemy „Krzyżaków” to przedmowę musi napisać konieczne Lord Vansittart. Jak gdyby ich polityczną aktualność i analogie należało Anglikom klasąć łopatą do głowy. O tym, że taka przedmowa zrazi do „Krzyżaków” — (i do Polski) — wszystkich anty-vansittartowców, których jest mnóstwo we wszystkich partiach i wszystkich warstwach społecznych, nikt nie pomyślał.

Niewiara w skuteczność niepolitycznej propagandy jest tym dziwniejsza, że nasze doświadczenie wskazuje nam wręcz przeciwną drogę. Jakże są nasze najlepsze osiągnięcia propagandowe? „Dangerous Moonlight” (film także nie-polskiej produkcji) — historia miłosna i natwra, której wartość propagandową oceniliśmy dopiero w dwa lata po premierze, gdy cała Anglia gwizdała już „Warsaw Concerto”; uroczystości kopernikowskie, które miały lepszą prasę niż wszystkie „dni protestu”; książka Sołtyńskiego „Glimpses of Polish Architecture”, która rozeszła się lepiej niż wszystkie (rozdawane) broszury o Europie Środkowej. Film o Marii Curie będzie na pewno jeszcze jednym potwierdzeniem tej tezy. I ten właśnie temat: wielka polska uczona (i — by ten sposób — szczerą i gorącą demokratką) — nie wydawał się naszej propagandzie dość ważny, aby go podjąć i rzucić na szalę naszych spraw.

Film jest bardzo dobry. W dramatycznych (filmowych?) skrótach pokazuje historię Marii Curie. Jej małżeństwo, odkrycie radium, tragiczną śmierć jej męża. Szczęśliwie omija zdradliwą rafę „kobiecości”, która już nieraz kazała nam zwątpić o inteligencję amerykańskich producentów filmowych. Gdy teściowie Marii Curie po raz pierwszy przychodzą z wizytą na obiad do młodej synowej, drżalem na myśl o tym, że nieuchronnie zobaczymy „tragédie gospodarską”. Jakaś przypałona zupa, kurczek, pachnące siarczanem wodoru, lub t. p. Obawiałem się, że reżyser poczęstuje nas jakąś receptą na „kobiecość”, made in Hollywood. Obawy moje były ponne. Zobaczyliśmy świetną w pomysłach scenę, jak dwoje uczonych zostawia gości przy stole i biegnie sprawdzić jakieś doświadczenie w laboratorium.

Greer Garson, świetna aktorka, znana z roli *Mrs. Miniver* i *Random Harvest*, gra rolę Marii Curie z talentem i umiarem, godnym tematu.

S. Dominik

Bałtyckie Vacuum

Na temat niemieckiej polityki w państwach bałtyckich pisze londyński tygodnik „The Economist” w numerze z dn. 12 lutego, w artykule p. t. „Baltic Vacuum”:

„Jeśli nie liczyć niewątpliwego zdecydowania Wehrmachtu, aby bronić każdej piędzi ziemi, ostatnie posunięcia Niemców świadczą o wyraźnym zamieszaniu. Ostatnio zdecydowano się na ogłoszenie poboru obywateli państw bałtyckich, których udział w wojnie poprzednio ograniczony był do nielicznych batalionów ochotniczych SS. Ale pobór ten zaraz po ogłoszeniu został cofnięty, przynajmniej w Estonii. Nie jest rzeczą jasną, czy cofnięcie to jest skutkiem uświadomienia, iż jest za późno na ćwiczenie rekruta, czy też wątpliwości co do tego, o ile można politycznie polegać na narodach bałtyckich... Propagandyści wyszukują, jak mogą, straszaka komunizmu, ale mimo wcześniejszych obietnic nawet in extremis nie rozszerzono autonomii, przyznanej Estończykom, Łotyszom i Litwinom. Jedyną koncesją jest ogłoszenie w Generalbeizirku Białorusi połowicznej autonomii, podobnej do tej, jaka została przyznana państwom bałtyckim w r. 1942.

Lohse, minister Rzeszy dla północnego Ostlandu, najwyraźniej czuje, że czas gestów i reform należy już do przeszłości, że nawet jeśliby się je teraz zrobiło, rezultaty będą minimalne. Hitlerowcy płacą teraz za swoją politykę Ostlandu, która zniechęcała tam do nich wielu z ich potencjalnych sojuszników. Kiedy latem 1941 r. zajmowali kraje bałtyckie, byli witani jako oswobodziciele przez pewne sfery ludności miejscowej. Ci, którzy stracili majątki pod rządami sowieckimi, mieli nadzieję, że zostaną im one zwrócone. Ci, których krew i przyjaciele byli wywiezieni do odległych prowincji rosyjskich, — a liczba tych wywiezień była znaczna zwłaszcza wśród inteligencji, — witali Niemców jako wrogów swoich wrogów. Wszyscy oni myśleli o przywróceniu, choćby i nominalnym, ich niepodległości.

W każdym poszczególnym wypadku nadzieje te zostały przekreślone. Ani państwom, ani jednostkom nie przywrócono ich praw. Te zaś zmiany Niemców, jakie zostały przeprowadzone przez Władców w Ostlandzie, dodały jeszcze nowe i większe krzywdy do starych.

Autor przypomina następnie, że przed pierwszą wojną światową państwa bałtyckie posiadały klasę wielkich właścicieli ziemskich, przeważnie baronów niemieckich. W latach 1919—1922 w państwach tych przeprowadzono wcale radykalną reformę rolną, która usunęła tę klasę właścicieli ziemskich. „Kiedy w r. 1941 sowieccy komisarze polityczni szli między chłopów bałtyckich z szablami i oskarżeniami paszyczyńskich właścicieli ziemskich, odpowiedzią było tylko wzruszenie ramionami. Państwa bałtyckie były republikami chłopskimi i pozostali nimi nawet pomimo niedemokratycznych reżimów, jakie zostały w nich zaprowadzone z początkiem lat trzydziestych. Stąd pole dla dalszej rewolucji agrarnej było małe. Rosjanie przeprowadzili tu tyle tylko, że parcelowali większe chłopskie gospodarstwa rolne. Niemcy gdy przyszli, z reguły nie zmieniali tego stanu rzeczy. Niektórym co prawda „kulakom” powracali skonfiskowane majątki, ale równocześnie zaczęli rewindykować swoje ziemie tu i ówdzie potomkowie dawnych „baronów” bałtyckich. Ich powrót drażnił poczucie narodowe obywateli państw bałtyckich.

Trzeba jeszcze do tego dodać ostateczne zubożenie wsi. Ceny produktów rolnych zostały ustalone na poziomie 60 procent cen, płaconych w Prusiech Wschodnich... Około 60 do 70 procent bydła poszło na rzeź.

Nie cofnięto też dawnych wywłaszczeń w przemysły i w handlu. Na Łotwie i na Litwie klasa średnia w znacznej mierze składała się z Żydów. „Odżyzdzenie” oznaczało wskutek tego zniszczenie — a prawdopodobnie także i fizyczną eksterminację — znacznego odłamu klasy średniej, która już przedtem została gospodarczo zniszczona przez Sowietów. Średnie i większe przedsiębiorstwa, upaństwowione przez Sowietów, zostały przejęte przez różne niemieckie spółki Ostlandu. Nie było powrotu tych przedsiębiorstw do dawnych właścicieli prywatnych na żadną znaczącą skalę. Te nieliczne ustępstwa, jakie zrobiono w ciągu ostatnich paru tygodni, mają minimalne znaczenie. Czerwona Armia, kiedy wróci do państw bałtyckich, nie znajdzie ich ani na jotę bardziej kapitalistycznymi, ba, może nawet mniej jeszcze kapitalistycznymi niż w r. 1941, kiedy Rosjanie byli zmuszeni do wycofania się z tych państw.

Przed amerykańską kampanią prezydencką

W związku z głośnym listem gen. MacArthura Pertinax, waszyngtoński korespondent Francuskiej Agencji Telegraficznej, pisze m. in. w algierskim „Le Combat” z 17 kwietnia:

„Z korespondencji, wymienionej we wrześniupañdziernika 1943 i styczniu—lutym 1944 między gen. MacArthurem a członkiem izby reprezentantów, Millerem, i obecnie ogłoszonej zapewne za cichym zezwoleniem gen. MacArthura w prasie, wynika, że gen. MacArthur gotów jest przyjąć kandydaturę do wyborów prezydenckich, jeśli zostanie mu ona zaoferowana przez konwencję republikańską, która zbierze się w czerwcu r. b. Według ogłoszonych przez ministra wojny, Stimsona, zasad dyscypliny wojskowej, oficerom amerykańskim nie wolno brać udziału w kampanii wyborczej, dopóki nie zostaną wyznaczeni jako kandydaci przez konwencję jednej z obu partii. Z chwilą wyznaczenia zostają automatycznie zwolnieni ze swych obowiązków wojskowych.

Dzięki pomysłowi ogłoszenia korespondencji przez Millera, gen. MacArthur występuje w kampanii, chociaż formalnie nie narusza dyscypliny. Listy jego są już na granicy demagogii i powstaje pytanie, jak postąpi Roosevelt wobec zawartych w nich gwałtownych oskarżeń.

Przed kilkoma miesiącami znany dziennikarz amerykański, Raymond Clapper (który niedawno zginał), przysłał korespondencję z Australii, w której opisywał swą wizytę u MacArthura. Przedstawił w niej generała jak lwa w klatce, lwa zranionego i szalejącego. Po dyskretniej aluzji do poglądów generała na sprawy dyplomacji i strategii Clapper dodał, że jeśli ten człowiek wybrany zostanie na prezydenta, wiele rzeczy w Ameryce ulegnie zmianie.

Jest rzeczą jasną, że MacArthur dąży do sławy; czuje się zamknięty i wie, że pozostanie w tej

sytuacji, podczas gdy inni zadawać będą decydujące ciosy Japonii.

Ubiegłej wiosny, gdy planowano wielką ofensywę w Burnie, Roosevelt i Churchill nie zwrócili się do MacArthura, by objął jej kierownictwo, lecz wybrali lorda Mountbattena.

Jednym z tematów dyskusji izolacjonistów jest, że Roosevelt zaniedbuje wojnę z Japonią, „naszą wojnę”, by rzucić wszystkie siły i rezerwy do wojny przeciwko Niemcom, „wojny obcej”, wojny „czerwonych”...

Oto absurdalna propaganda, której gen. MacArthur udziela swego prestiżu. Czy wielki wódz z pióropuszem na czapce, dążyć będzie z daleka do zamieszania w opini publicznej? Siłą reakcji może on tylko zbliżyć ludzi, którzy sądzili, że z nim już na zawsze zerwali”.

Rola komunistów francuskich

Rola komunistów staje się coraz wyraźniej jednym z istotnych czynników, kształtujących nową rzeczywistość francuską. Pismo o niej obszernie „Gazette de Lausanne” z 5 lutego b. r.:

„Po zawieszeniu broni komuniści przeszli okres wahań, na który pełne światło nie zostało jeszcze rzucone. Przeciwnicy komunizmu twierdzą, — i na poparcie swej tezy powołują niezaprzeczalne fakty, — że w ciągu tego okresu, który przedłużył się do jednego roku, t. j. do rozpoczęcia niemiecko-rosyjskich kroków wojennych, organizacje komunistyczne wygrywały kartę kolaboracji. Komuniści usiłują tłumaczyć te fakty zdradą elementów wątpliwych i przeciwstawiają im inne fakty, niemniej niezaprzeczalne, według których „czyste czynniki” partyjne od początku dążyły tylko do wygrania na czasie w celu zorganizowania oporu przeciwko najeźdźcy”.

Stopniowo komuniści zajęli miejsce w pierwszych szeregach frontu podziemnego. Francuzi nie posiadali nigdy tradycji walki podziemnej, więc siłą rzeczy komuniści, zaprawieni do niej od dawna, zdobyli przewagę nad resztą ruchu. Dzisiaj „resistance” uwolniła się już od pierwszych naiwności, błędów i braków, ale organizacje komunistyczne zachowały do pewnego stopnia raz osiągnięty autorytet.

Z kolei dziennik przechodzi do sprawy stosunku Francuzów do Rosji: „Wojna rosyjsko-fińska, ostre zmiany taktyki, podpisanie paktu niemiecko-rosyjskiego w roku 1939, przyczyniły się do wzbudzenia pewnej nieufności nie tylko wobec panów Kremla, lecz i samej Rosji”.

Od 22 czerwca 1941 r. nieufność ta zaczęła coraz bardziej ustępować wzmagającemu się podziwowi dla Rosji: „Pozorna bezczynność Anglosasów, którą naród skłonny jest sądzić bardzo surowo, przyczyniła się jeszcze do zwiększenia popularności Rosji, a komuniści, zdając sobie z tego sprawę, nie omisszali naturalnie wyszukać tej popularności dla swych własnych korzyści”.

Czynnikami dominującymi nad życiem współczesnej Francji stał się proces powszechnej proletaryzacji społeczeństwa. Przyczyną jej jest wiele: „Proletaryzacja przez klęskę: miliony Francuzów utracili swe domy; musieli uciekać z ojczyzny, zrywać węzły, których słabość często była tylko pozorna, porzucać ramy życia, tak konieczne dla równowagi wielkiego narodu.

Proletaryzacja przez zubożenie: obok korzyści, osiągniętych przez tych, którzy z bliska lub z daleka mają do czynienia z czarnym rynkiem, kraj w całości swej uoboże nieprzerwanie; pięcie są sztycherz niedostateczne, drobne oszczędności rozpyływają się z rosnącą szybkością, zapasy wyczerpują się i widmo ruiny staje przed progami coraz większych rzesz ludności.

Proletaryzacja przez zdeklasowanie: mobilizacja siły roboczej, deportacje, tajne oddziały, wszystko to są zjawiska, które wraz z zubożeniem i utratą mienia przyczyniają się silnie do upodobnienia warunków bytu syna chłopskiego, sklepikarza czy notariusza do warunków bytu młodego robotnika.

Nowe zniszczenia, których kraj nie uniknie, przyspieszyć mogą tylko te tendencje równania w dół. Tendencję niebezpieczną, gdyż zmienia ona tradycyjną strukturę społeczeństwa francuskiego. We Francji zrównoważonej chwilowo przewagą komunizmu zostałyby, jeśli tak można powiedzieć, wchłonięte; we Francji proletaryzowanej te same przewagi odegrać mogą rolę katalizatora, wywołującego nagły i brutalny wybuch”.

W tej sytuacji ważny moment stanowi również nieufność i niechęć do dawnych przywódców politycznych Trzeciej Republiki: „Naród, mniej lub więcej wyraźnie — i nie bez słuszności — uważa, że elity te, na ogół biorąc, nie stanęły na wysokości, jakie wymagają warunki. Już przed wojną dawało się odczuć niezadowolenie narodu z tych, którzy chcieli go reprezentować, prowadzić i radzić. Podczas wojny i po klęsce niezadowolenie to jedynie wzrosło.

Gdzie szukać nowych elit? Te, które mogły zrodzić rewolucja narodowa, zatoneły w generalnym bankructwie polityki t. zw. kolaboracji; w pewnej mierze nowa promocja społeczna stała się nie tylko możliwa, lecz nieunikniona, a jednocześnie konieczna.

W tym stanie rzeczy komuniści skwapliwie zapominając o odpowiedzialnościach z niedawnej jeszcze przeszłości, przedstawiając się jako „ludzie nowi”, jednakowo obcy tak zwanej rewolucji narodowej (co wydaje się uzasadnione, mimo obecności w Vichy, a przede wszystkim w paryskich kołach kolaboracjonistów pewnej ilości komunistycznych „zbiegów”, jak i minionemu reżimowi twierdzenie znacznie bardziej wątpliwe!) w ten sposób, słusznie czy niesłusznie, — wyzyskują sytuację psychologiczną i społeczną, którą można określić, jako rewolucyjną”.

UDZIELAMY POŻYCZEK

w każdej wysokości na najniższych warunkach, pod zastaw brylantów, złota, srebra i wszelkich wartościowych towarów. Kupujemy po wysokich cenach wyroby ze złota i srebra

LOMBARDHOUSE

„THE DIAMOND”

RITTER & OHRENSTEIN
TEL - AVIV, Allenby 64

KRONIKA POLITYCZNA

Kłeska niemiecka na Krymie jeszcze raz pokazała, jak mało elastyczna i jak kosztowna jest niemiecka obrona na froncie wschodnim. W miarę jak linia frontu przesuwała się coraz dalej na zachód, sens utrzymywania przez Niemców dużego garnizonu na Krymie stawał się coraz mniej widoczny. Linie dostaw na Krym w coraz mniejszej mierze były pod kontrolą niemiecką, coraz problematyczniej wyglądały możliwości wywakuowania tak wielkiej ilości wojska morzem, a mimo to Niemcy, wyzyskując tę okoliczność, że Krym łączy z lądem stałym wąską i łatwą do obrony przesmyk, zaciebie broniли swoich pozycji na półwyspie. Niektórzy komentatorzy z tej zaciętości wysnuwali nawet wnioski, że Niemcy nie zrezygnowali z zamiarów kontrofensywy w Rosji i że duży garnizon krymski utrzymywany jest dla przeprowadzenia w odpowiedniej chwili uderzenia na tyły armii ukraińskich.

Doświadczenie ostatnich tygodni pokazało, że upór w utrzymywaniu Krymu tłumaczy się tylko i wyłącznie dziwnie małą elastycznością obrony. Kłeska przyszła późno, ale — jak na to wskazują liczba jeńców oraz szybkość postępów sowieckich — należy do najdotkliwszych, jakie Niemcy odnieśli w tej kampanii. Dopiero u wrót szczególnie obronnego z racji swego położenia Sewastopola udało się Niemcom powstrzymać postępy sowieckie. Film działań wojennych odwrócił się i port ten, sławny tradycjami z wojny krymskiej — z obroną i szturmami Sebastopola związane jest powstanie najwyższego brytyjskiego odznaczenia wojennego, Victoria Cross — odgrywa dziś rolę analogiczną do tej, jaką mu przypadła wiosną r. 1942. Wtedy zawzięta obrona sowiecka odsunęła o jakie dwa miesiące termin letniej ofensywy niemieckiej na Stalingrad i na Kaukaz, dała więc w sumie Rosjanom bardzo dużo. Dziś Niemcy będą się na pewno starali jak najdłużej utrzymać w Sebastopolu, i będą go broniли wszystkimi dostępnymi środkami, rozumiejąc, że odebranie Sebastopola oznacza dla Rosjan kontrolę nad wybrzeżem rumuńskim. Wolno przypuszczać, że tak jak przed dwoma laty Niemcy czekali z rozpoczęciem wielkiej ofensywy na zdobycie Sebastopola, tak i teraz Rosjanie przed odebraniem tego portu nie rozpoczną ofensywy w większym stylu na Rumunię.

Przygrywka do tej ofensywy jest już teraz niszczenie przez lotnictwo Sprzymierzonych systematycznie i na dużą skalę węzłów komunikacyjnych na Bałkanach. Jest ono tylko fragmentem olbrzymiej ofensywy lotniczej Sprzymierzonych, która w ostatnich tygodniach uległa dalszemu nasileniu. I tu nie trudno znaleźć odwołanie sytuacji z Battle of Britain. I tu, jak i tam, głównym, zasadniczym celem ofensywy jest zniszczenie lotnictwa myśliwskiego nieprzyjaciela, pojęte jako wstęp do rozpoczęcia desantu. Wybranie za obiekt bombardowań wielkich miast, ośrodków przemysłowych ma na celu spowodowanie przeciwnika do rzużenia dla obrony atakowanych obiektów jak największej ilości myśliwców. Niemcy starają się też uciec do taktyki RAF-u z 1940 r.: ich myśliwce niechętnie przyjmują walkę, dla tego np. samoloty amerykańskie mogły dokonać dn. 26 kwietnia b. r. dużego nalotu na Brunszwik zupełnie bez strat i nie napotykać po drodze na myśliwce niemieckie. Taka taktyka przychodzi im jednak dużo trudniej. Bombardowania Niemiec i krajów przez nich okupowanych przeprowadzane są obecnie na bez porównania większą skalę od bombardowań niemieckich z r. 1940, stąd też i zniszczenia w Niemczech są nieproporcjonalnie większe. Co ważniejsze jednak, dzienne naloty przeprowadzane przez lotnictwo amerykańskie na lotniska i fabryki sprzętu wojennego, zadają równocześnie lotnictwu niemieckiemu bezpośrednie, a bardzo ciężkie straty. Proporcje samolotów, rzuconych dziś przez obie strony do walki, na pewno nie są sprawdzianem proporcji sił w powietrzu obu stron: Niemcy na pewno dysponują jakimiś rezerwami strategicznymi, które rzuca do walki w momencie inwazji, ale nie ulega też wątpliwości, że Luftwaffe jest dzisiaj w wielkich opałach i że dysproporcje sił z każdym tygodniem pogłębiają się.

Przewaga w powietrzu to jedna z najpoważniejszych gwarancji ostatecznego zwycięstwa Sprzymierzonych w zapasach wojennych. Patrzymy na nie z coraz większą ufnością. Zato polityczne perspektywy tego zwycięstwa wcale nie wyglądają jasno i wyraźnie. Pomijając już nasze specyficzne, polskie racje, które każą nam patrzeć w przyszłość z wielkim niepokojem, trzeba nam przyznać, że i na innych odcinkach frontu Zjednoczonych Narodów nie brak niepokojących objawów. W marynarce greckiej wybuchł bunt, który spowodował jeszcze jeden kryzys gabinetu greckiego. Ciekawe oświadczenie amerykańskiego komisarza dla Południowych Włoch, płk. Mac Caffrey'a, przyniósł Reuter z Neapolu z dn. 15 kwietnia b. r. Czytamy tam — cytując z „The Palestine Post” z dn. 16 kwietnia — że bez poparcia Sprzymierzonych rząd Badoglio nie utrzymałby się i 24 godzin: „Ludność miejscowa po prostu nie chce współpracować z takim rządem. Są objawy odrzucenia faszyzmu i rząd włoski z powrotem wciągnął na listy płacy ludzi, których myśmy przepędzili” („people we fired back”). Z innych depeesz dowiadujemy się, że we Włoszech istnieje „poważny brak żywności, któremu tylko częściowo można zaradzić drogą importu, uzależnionego od cennego tonażu statków”. Są to wszystko bardzo poważne objawy, upoważniające do stwierdzenia, że kampania włoska nie tylko pod względem wojskowym była niepowodzeniem. Niepopularność rządów Badoglio ma zaradzić rekonstrukcja jego gabinetu, zapewnijająca współpracę w tym gabinecie przedstawicieli partii politycznych. Rzecz oczywista jednak, że problemów, o których mowa w zacytowanych wyżej depeeszach, rekonstrukcja ta w żadnej mierze nie załatwia. Jaką postać problemy te przybiorą we Francji, w momencie gdy wojska sprzymierzone wyłudzą na wybrzeżu francuskim, najprawdopodobniej obiekcie ich desantu? Francuzi będą politycznie dużo aktywniejsi od Włochów, wiedząc też oni dużo wyraźniej od Włochów, czego chcą. Dodajmy do tego jeszcze te wszystkie znaki zapytania, jakie rysują się nad sytuacją polityczną Bałkanów, a musimy przyznać, że wcale nie jest rzeczą pewną, iż pokonanie Niemiec przyniesie tak upragniony pokój wymęczoną okupacją niemiecką i rozoranej bombami lotniczymi Europie.

w.w.

KRONIKA POLSKA

— Dr. Aleksander Rytel wydał we własnym nakładzie w Detroit broszurę p. t. „Pomoc powojenna dla Polski”.

— Komisja Lotnicza Stowarzyszenia Techników Polskich w Wielkiej Brytanii wydała obszerny tom „Sprawozdań i referatów” Kongresu Technicznego Lotnictwa, jaki się odbył w Londynie w dniach 13 — 14 grudnia 1942 r.

— Nakładem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie ukazała się jako nr. 2 „Biblioteki Harcerskiej” książka Aleksandra Kamińskiego p. t. „Książka wodza zuchów”.

— The Polish Publications Committee w Birkenhead wydał po angielsku cykl odczytów, wygłoszonych na kursie o Polsce dla nauczycieli, jaki miał miejsce w uniwersytecie w Liverpoolu w dniach 25—26 września ub. r., pod wspólnym tytułem „Unity or Chaos”. Otwiera książkę przedmowa p. Helen M. Stephen i słowo wstępne W. F. Reddaway'a, profesora historii w Cambridge. Po czym idzie programowy odczyt o zagadnieniach Europy Środkowo-Wschodniej prof. Stanisława Kota „Jedność albo chaos” oraz odczyt P. M. Roxby'ego, profesora geografii na uniwersytecie w Liverpool, „To geograficzne federacji w Środkowo-Wschodniej Europie”, A. Bruce Boswella, profesora historii i literatury rosyjskiej na Uniwersytecie w Liverpool, „Polska w świetle przeszłości” i F. A. Voigta, redaktora miesięcznika „Nineteenth Century and After”, o „Sytuacji Polski w Europie Środkowej”.

— Wydawnictwo Atlantis w Harrow (Middlesex) ogłosiło w angielskim przekładzie Petera Jordana zbiór opowiadań lotniczych Porucznika Herberta (n. b. jedynego z współautorów książki, wymienionego na karcie tytułowej), Henryka Dobrowskiego, Tadeusza Kołodziejewskiego, Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza, A. Trzmadla, W. Irynicza, Kazimierza Żerebieckiego, J. M. i J. G. pt. „Polish Wings over Europe”.

KRONIKA FILMOWA

„DZIECI HITLERA”

Film amerykański był zawsze filmem światowym wskutek swego olbrzymiego zasięgu. Dziś jednak, kiedy odpadł rynek europejski, a azjatycki bardzo się skurczył, produkcja filmowa Stanów Zjednoczonych bardziej niż kiedykolwiek jest tylko sobą, jako przeznaczona przede wszystkim dla widza amerykańskiego, a dopiero w drugiej kolejce dla widza brytyjskiego. W reportażach wojennych, w pictorial news, dominują zdjęcia z walk na Pacyfiku, wyraźnie wskazując, jaki front jest najważniejszy dla przeciętnego obywatela. Ale już tam, gdzie zaczyna się sprawa oddziaływania głębszego i pomyślanego na dalszą metę, a więc w filmie długometrażowym, proporcja się zmienia i właściwie dwa tematy zagarniają dla siebie większość produkowanych obrazów: popularzacja armii i propaganda antynazistowska.

Życie codzienne Stanów Zjednoczonych stoi jeszcze ciągle pod znakiem formowania armii, nieznanej dotychczas w historii państwa. Młodzież amerykańska idzie do obozów wojskowych, zagadnienia organizacyjne przeważają w okresie, gdy tylko 1/3 sił zbrojnych znajduje się poza granicami Ameryki, reszta zaś jest nadal w stadium przygotowań. Obóz ćwiczebny stał się popularnym miejscem, dokąd idą listy rodziców, westchnienia dziewcząt, gdzie jeździ się w odwiedziny na reprezentacyjne mecze rugby i boks. Wślad za tym — filmowa operetka, film muzyczny, jazzowa komedia, zmieniają swoją scenę i dawne fantastyczne bałkańskie państewka lub romantyczne góry Far Westu ustąpiły miejsca lotnikom, pokładom kontroldowców i dzielnicom koszar. Oczywiście flota jest najpopularniejsza i obrazy w rodzaju „Navy Blues” albo „In the Navy” mają największe powodzenie. Wszelkie odcienie filmów wesołych i pogodnych reklamują wojskowe rozkosze, a kandydat na rekruta, siedząc w kinie, myśli sobie, że w armii na pewno jest największa szansa spotkania miłej sweetheart. Mamy znowu i ciocie cieszą się, że filmowy bohater, tak podobny do ich jednynka i siostrzeńca w jednolitym khaki mundurze, zdobywa serce równie umundurowanej piękności zza lady obozowej kantyny, po czym wymienia serię okolicznościowych knock-out-ów z kolegami i może już budzić jak największe nadzieje, że na prawdziwej wojnie zostanie bohaterem.

Tej zaś prawdziwej wojny w filmie czyste amerykańskim t. zn. nie realizowanym w Anglii lub przy współpracy angielskiej, jest stosunkowo niewiele. Jak dotąd raczej jeszcze nie sama walka, jej blaski i cienie, interesują widza amerykańskiego, lecz jej sens i cel. Owe bowiem tak liczne filmy antynazistowskie niosą pośrednio odpowiedź na pytanie, dlaczego armie Stanów łądzą krwawo na dalekich półwyspach europejskich, dlaczego obowiązkiem każdego człowieka cywilizacji zachodniej było przeciwstawienie się pochodowi hitleryzmu. Wśród produkcji z r. 1943 jako jeden z najlepszych filmów wyróżniono antynazistowski obraz „Watch on the Rhein” („Wacht am Rhein”), dotarł on już do Palestyny, wraz z przeróbką filmową głośnej powieści J. Steinbecka „The Moon is Down” i filmem, powtarzającym równie głośny reportaż G. Ziemmera „Education for Death”, pod tytułem zamienionym na „Hitler's Children”.

Oglądając film antynazistowski, widz w Ameryce konfrontuje ze sobą dwie wizje życia, dwie różne recepty na szczęście jednostki: im bardziej recepta hitlerowska jest antyindywidualistyczna, antyracjonalistyczna, antyliberalna, im bardziej jest kolektywistyczna, mistyczna i terrorystyczna, tym mocniej wywołuje ona odrazę i oburzenie. Amerykanin, wracając z filmu nazistowskiego do domu, może czuć się jak człowiek zdrowy, odwieczający chorych w ponurym szpitalu. Może z radością i dumą spoglądać na Amerykę, wolną od europejskich nieszczęść i usuwającą własne bezrobocie przy pomocy europejskiej wojny. Film jeszcze umacnia w nim owe poczucie, że jest obywatelem raj, podczas gdy Europa podobna jest do czyściec, jeśli już nie do piekła. Często pokazując walki ludzi wolnych nawet pod okupacją, walki ruchów podziemnych, budzi w nim koleżeń-

Z teki Zygmunta Kowalewskiego



W KAWIARNI

ską sympatię udzielenia pomocy w zrzuceniu hitlerowskiego jarzma. Ale co potem? Amerykanizacja Europy? To ani łatwe, ani proste. Propaganda antynazistowska jest raczej kontrapropagandą, a motyw idealny występuje w niej w ten sposób, że bohaterem akcji udaje się porzucić europejską otchłań i uciec samolotem do Ameryki. Kto szlachetny, ten zwycięża i otrzymuje wiedz do Stanów Zjednoczonych. Przypomina to Achillea, który po dokonaniu wspaniałych czynów, na obłocznej kwadrydzie unosił się w niebiosach, pozostawiając śmiertelnych samych sobie.

Jednym z obrazów, najsilniej uderzających wyobraźnię amerykańskiego widza, są wspomnienia już „Dzieci Hitlera”. Podczas gdy inne filmy opowiadają przeważnie o obecnym terrorze hitleryzmu, „Hitler's Children”, pokazując wychowanie młodego pokolenia niemieckiego, dają wizję tego świata, jaki Niemcy pragnęli stworzyć, zarysowując swego rodzaju koncepcję hitlerowskiego raju. Przeciwnieństwo, kontrast, będąc tym silniejsze, że Ameryka ma swój dość wyraźny ideał wychowawczy, znajdujący często wyraz w bardzo popularnych obrazach z serii „Rodzina sędziów Hardy” („Hardy's Family”).

Najbardziej wstrząsającym akcentem tego filmu jest uprzytomnienie, że współczesna technika sięga i w sferę psychologii, i że odpowiednim wychowaniem, w odpowiednim otoczeniu i przy właściwej izolacji od świata można wytwarzać seryjne, jak tanki i armaty, typ ludzki, zupełnie oderwany od współczesnej rzeczywistości. Będą to jakby ludzie fikcyjni, a przecież z krwi i kości, ludzie, dla których po prostu nie istnieje cały rozwój cywilizacyjny, dla których wszystko zaczyna się od jakiejś nowej biblii, tym razem biblii nazistowskiej.

W pięknych ogrodach, we wspaniałych pensjonatach odbywa się racjonalna produkcja przyszłych Niemców. Jeżeli człowiek ma poświecić wszystkie siły dla państwa, logicznie jest uzasadnione dalsze żądanie, aby nie zużywał ich części dla swej rodziny, dla wychowania dzieci, zwłaszcza gdy fachowe pielęgniarki i wychowawcy mogą to pod wieloma względami wykonać lepiej. Państwo odcina mężczyznę od troski o rodzinę, zbliżając go przez to do plemiennego ideału męza-wojownika, więcej nawet — państwo odcina kobietę, przejmując wychowanie dziecka, pozwalając jej za to na tym intensywniejsze spełnienie zadań, przy których jest już absolutnie nieodzowna, t. j. zadań rozrodczych. Czeka ją więc rasowo czyste dziedziczenie na rasowo czystych młodzieńców, aby w sobotę wieczorem po tańczącej herbatce, zakosztować „słusznym przyjemności”, które Führer przewidział dla swych wiernych.

Amerykański pedagog, zwiedzający podobne osiedla, ma swobodę zadawania pytań. Słucha ze zdumieniem odpowiedzi pensjonariuszek, twierdzących, że jest o wiele szczęśliwiej i szlachetniej mieć dziecko dla Führera i partii, niż dla męża i rodziny. Inna znowu marzy o tym, by poród był jak najboleśniejszy, by mogła prawdziwie cierpieć i składać z siebie ofiarę dla Wodza. Odrzuca z pogardą stosowanie środków zneczulających...

Ten mistycyzm, bo niewątpliwie graniczyło to z mistycyzmem, jest wprost nie do pojęcia dla racjonalistycznego Amerykanina, chociaż nie trudno dopatrzeć się podobieństwa do zdegenerowanych ekstaz religijnych, w których bóstwo staje się obłubieńcem dziełcy, w których jak tu właśnie — następuje utożsamienie mistyczne kochanka rzeczywistego z kochankiem idealnym. Z Führerem...

Nie ma powodu wątpić w oświadczenia owej psychopatycznej młodzieży, że jest szczęśliwa. Wystarczy tylko stwierdzić, że nasz ideał szczęścia jest inny i przypomnieć, iż „la science c'est de la compassion”; kto nie ma sposobności porównania, kto żyje w odrutowanym świecie, ten musi ulegać psychozom. Wolność intelektualna jest tu jedynym sposobem zabezpieczającym i dlatego też państwa totalne, świadomie psychozoje hodujące i na niej się opierające, zaczynają atak od niszczona swobody myślenia.

Gdy zaś ona tę załamie, jest już otwarte pole do tworzenia ludzi jakby z innej planety. Będą oni

pozornie normalni, będą grać Schumanna, hodować kwiaty, kochać zwierzęta, ale bez zmużenia rowieki — zapisać Żydów.

Hitlerowska fikcja człowieka przyczyniła się do fałszów w zakresie pojęcia t. zw. „dobrego Niemca”. Ponieważ pod wpływem opisów okrucieństw powstał syntetyczny typ hitlerowca zwyrodniał, wielu jest bezbronnych myślowo wobec Niemca, okazującego normalne cechy ludzkie. W Kraju organizacje podziemne musiały nawet ostrzec, by nie ulegać naiwnym odruchom współczucia wobec uciekających do Polski ofiar bombardowań, gdyż to także są Niemcy...

Cóż to znaczy? Odpowiedź demonstruje doskonale książka i film „The Moon is Down”, wobec których obaj mówiono często o „dobrych Niemcach”. „Dobrymi Niemcami” według tego popularnego ujęcia — mają być oficerowie niemieccy, kierujący okupacją górniczego miasteczka w Norwegii, jakich J. Steinbeck uczynił bohaterami swej sokratycznej opowieści.

Komendant, pułkownik Lanser, jest wojskowym doświadczonym, zrównoważonym, taktownym, bezwzględnym w wymaganiach wojny, lecz nie brutalnym. Brak też jednej cechy już go pasował na „dobrego Niemca”. Major, inż. Hunter, rozstrzeluje spokojnie sabotażystów, uszkadzających dynamy fabryczne, lecz rzeczowość, wiedza fachowa i spokój również starczą mu za legitymację niemieckiej „dobroci”. Wreszcie młody porucznik Tonder uzyskał sobie to określenie przez brak opapanowania tęsknoty za krajem, sentymentalizmem i nieodpowiedzialną miękkością usposobienia.

Nienawiść zaślepia. Nienawiść do Niemców i hitleryzmu zaślepia również. Pod jej wpływem za prawdziwego hitlerowca uważa się tylko takiego, u którego sparaliżowanie samodzielnego myślenia doprowadziło do zwyrodnienia wszystkich cech psychicznych. Innych nazywa się „dobrymi Niemcami”, uważając, iż trzeba dopiero tłumaczyć ich zło.

Tymczasem to zło jest jawne. Lanser, chociaż ma za sobą doświadczenie katastrofy 1913 r., nie doszedł do wniosku, iż organiczna niezdolność rozumienia innych nie pozwoli Niemcom nigdy stanąć na czele ludów Europy, do czego skąd inąd mieli tyle danych gospodarczych i militarnych. Sentymentalny por. Tonder, szukający przyjaznych stosunków z podbiłymi Norwegami, nie jest zdolny pojąć przyczyn norweskiej nienawiści do „przyzwolonego” Niemca. Nikt z tych rzekomych „dobrych” hitlerowców nie czuje granicy między prawem a bezprawiem, nie rozumie krzywdy ludzi, okradanych z ojczyzny. Nie rozumie, ponieważ zabranie czegośkolwiek przez Niemców nie jest w ich pojęciu kradzieżą. Każdy, kto posiada w myśleniu ową „reservatio mentalis”, tak swoście niemiecką, nie jest „dobrym Niemcem”, nawet w cudzoziemiu. Zaletą koncepcji „The Moon is Down” jest uwydatnienie tego niemieckiego egoizmu, przybranego nieraz w europejskie formy, a stojącego zawsze w poprzek europejskiego określenia stosunków międzyludzkich i międzynarodowych. Rzekomy „dobry Niemiec” wydaje mi się postacią bardziej demoniczną niż jawna hitlerowska bestia. Jest to jakby szatan, który znalazł środki imitacji anioła. Jest to smutny dokument, jak wiele w człowieku można wytworzyć w zakresie pożądanych pozorów, jak zaś niewiele można zmienić w zakresie istoty rzeczy. Ten wniosek z „The Moon is Down” łączy się bezpośrednio z „Hitler's Children”, gdzie sposobem na niemieckie zło wydaje się wielu ludziom nie zabieg polityczny, lecz reedukacja, dokonywana przez jakiś moralno-teologiczny Amgot...

Jan Martyka

Wydawca: Ignacy Pokrywa

Redaktor: St. A. Balicki

Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Adres Redakcji: Polish Information Centre

Jerusalem, Bezalel Street, House Valero